

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY: w Wilnie		REDAKCJA i ADMINISTRACJA	CENY OGŁOSZEŃ;
Rocznie - - - - -	7.00	Ś. Jerska 15 m. 26	Przed tekstem za wiersz petitu - - - 50 k.
Półrocznie - - - - -	3.50	Otwarte codziennie prócz świąt od	W tekście (nadesłane) - - - - - 1 rb.
Kwartalnie - - - - -	1.75	godziny 11 do 4 pp.	Po tekście - - - - - 20 k
Miesięcznie - - - - -	60	Skrzynka pocztowa № 52	Numer pojedynczy 15 kop.
Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu			
Rocznie - - - - -	8.--		
Półrocznie - - - - -	4.00		
Kwartalnie - - - - -	2.00		
Miesięcznie - - - - -	70		

Czas odnowić prenumeratę na kwartał drugi.

Jedność narodowa.

Jakże często, zwłaszcza ostatnimi czasy, wysuwana bywa przez prasę najrozmaitszych kierunków potrzeba „jedności narodowej“. Pod hasłem tem występuje i idejowiec szczerze wierzący w skuteczność zasad „swój do swego“, i kramarz goniący za pospolicym prywatnym zyskiem, i fabrykant, zwalczający strejk robotników, i ksiądz o jednej owczarni marzący... Przeróżne cele, przeróżne względy kładą ludziom w ręce sztandar bezwzględnej solidarności narodowej.

Czyżby istotnie jedności tej groziło niebezpieczeństwo, usprawiedliwiające, czynioną obecnie wrzawę? Owszem, niebezpieczeństwo takie istnieje rzeczywiście, lecz zgoła nie tam, gdzie je wskazuje hałasująca agitacja. Bo w czem-że je ona dostrzega? Oto najczęściej w tem, że interes proletariusza przeciwstawia się interesowi kapitalisty, ideały mieszczaństwa — ideałom szlachty, dążenia nauki — dążeniom kleru, postulaty demokracji — widokom konserwatyizmu i t.d. Lekarstwem na wszystkie te przeciwieństwa, „rozsadzające (rzekomo) i osłabiające naród“, ma być hasło jedności.

Atoli jego zwolennicy zdają się całkiem nie dostrzegać, że gdyby udało im się zasadę swoją w czyn wprowadzić, gdyby potrafili stłumić wszelkie „rozsadzające“ walki wewnętrzne — zgasłoby samo życie narodu. Bez ciągłego zmagania się interesów i idei — możliwa jest tylko czcza wegietacja, właściwa jeno społeczeństwu najprymitywniejszemu. Wyobrazić sobie wcale nie można rozwoju kultury bez walk w łonie narodu. Szczególniej w czasach obecnych, gdy rozwój ten postępuje z szaloną szybkością, gdy mnożą się odkrycia naukowe i wynalazki techniczne, w dalszych swych konsekwencjach, powodują coraz to inne zmiany we wzajemnym stosunkowaniu się sił socjalnych — obrona i zdobywanie stanowisk przez

rozmaite grupy społeczne jest koniecznością wprost żywiołową.

Jakże więc można żądać, jak można się spodziewać nagłego ustania wszelkich walk w łonie jednego i tego samego narodu? Przecież naród tylko wówczas posiada zdolność samodzielnego życia i rozwoju, gdy stanowi społeczeństwo zróżniczkowane; gdy w skład jego wchodzi wszelkie możliwe w danym okresie czynniki socjalne. Wiemy, że dziś np. kulturalnie najsłabszemi są narody, którym brak proletariatu miejskiego; w końcu XVIII wieku klęskę prawdziwą stanowił (chociażby dla Polski) brak mieszczaństwa; widzimy też narody na których mści się (jak na Czechach) brak w odpowiedniej epoce szlachty, brak bogatego ziemiaństwa. Wprawdzie nie wszystkie warstwy są w każdym okresie dziejowym równie ważne, ale istnieje pewne minimum różnicowania, wymagane przez poszczególne etapy postępu kultury. Na miejsce warstw zamierających powstają nowe, twórcze, żywiołowo symbolizujące przyszłość. Naród, który swe warstwy zanikające stara się sztucznie utrzymać przy życiu, a nowo powstające gnębi, sam się na śmierć skazuje.

Konieczność posiadania elementów różnych, fakt stopniowego zamierania jednych, a tworzenia się innych warstw społecznych — wskazuje, iż walk wewnętrznych w narodzie uniknąć niepodobna. Polecanie zaś przeciw nim „jedności narodowej“ jest albo szkodliwe, ale — w najlepszym razie — bezcelowe; życie bowiem samo ową jedność rozbija w interesie cywilizacji.

Zresztą, przyjrzyjmy się tylko, kto właściwie w obronie tej jedności staje? Oto przeważnie te warstwy społeczne, które — w danym momencie ewolucji kulturalnej — nie zdobywają placówek nowych, ale bronią starych. Warstwy, schodzące z pola, przeżytki, dla których warunkiem bytu jest zastój.

I rzeczywiście skoro tylko zastanowimy się nad realnym celem wszelkich odezw, wzywających do jed-

ności narodowej, łatwo przyjdziemy do wniosku, iż dziś mają one na względzie korzyść jeno pewnych sfer społeczeństwa — mianowicie warstw posiadających, a więc nie większej, lecz mniejszej części narodu. Nikt np. nie widział, by w imię solidarności, prasa nawoływała kapitalistę do pamiętania o potrzebach pracujących nań „rodaków“. Jeżeli nawet czasami zaleca mu ona pewne względy dla nich, czyni to pod wpływem uczuć i hasel ogólnoludzkich, najwięcej filantropijnych. Natomiast jaskrawy szandar solidarności narodowej podnosi śmiało wówczas, gdy pretensje robotników zwalczą. Wogóle interes mas pracujących stale bywa przeciwstawiany interesowi narodowemu; pojęcie „lud“ w świadomości przeciętnego inteligenta zdaje się występować poza granice pojęcia „naród“. Że tak jest istotnie, dość wypowiedzieć np. zdanie: „większość polaków nie umie czytać“. Usłyszawszy coś podobnego, każdy z nas w pierwszej chwili zachnie się, gotów nawet zaprzeczyć. A to dlatego, że pospolicie wyraz „polak“ w wyobraźni naszej nie budzi wspomnienia chłopca, ale historycznego szlachcica, współczesnego „obywatela“ ostatecznie nawet przedstawiciela inteligencji miejskiej. Obraz chłopca występuje dopiero wówczas, gdy używamy nazw niektórych prowincjonalnych odłamów narodu: krakowiak, kujawiak, kurp, podlasiak etc.

To też publicyści, utożsamiający interes narodu z interesem jego mniejszości, t. j. warstw posiadających, bardzo często wcale nie orientują się w popelnianym błędzie. Z całą prostodusznością widzą jedynie klęskę np. w emigracji chłopskiej, bo tracą na niej obszarnicy—czyli „naród“; boleją nad parcelacją tam nawet, gdzie dawne latifundja dzieli między siebie lud czysto polski, bo przywykli uważać dwory szlacheckie za główne ogniska kultury narodowej i zgoła nie widzą, że rolę tę prawie doszczętnie już one straciły.

A podczas gdy z tego właśnie stanowiska broniona jest u nas „jedność narodowa“ ogół nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa, które grozi jej istotnie. Uważając za ową pożądaną jedność śmiertelny w łonie narodu spokój, zapomina się, na czem ona właściwie polegać winna.

Mało kto rozumie, jak wielką klątwą jest dla

Polski rozbieżność ewolucji kulturalnej w trzech dzielnicach. Sam choćby fakt, że zabór pruski prawie całkowicie przestał być odbiorcą nauki i sztuki polskiej, dostatecznie chyba szkodę uwydatnia. Słabe, coraz słabsze interesowanie się tej dzielnicy polską twórczością duchową ma przyczyną dwojakie: z jednej strony odciąga umysły potężna twórczość niemiecka, z drugiej—ostateczne zmaterializowanie ideałów narodowych. Wyłączenie dążenia do zdobycia mocnych fundamentów ekonomicznych, spowodowało zastój kultury intelektualnej. Wprawdzie w całej Polsce niema takich, jak w Poznańskim, gospodarstw—zwłaszcza chłopskich; ale też nigdzie nie spotyka się tak przyziemnych dążeń, tak wąskich widnokręgów myśli i takiego zasiedzenia się w przeżytkach.

Dość wspomnieć, że Demokracja Narodowa jest tu uważana za stronnictwo wywrotowe. Dodam jeszcze do tego bardzo ciekawy szczegół. Oto, by ludowi stronnictwo powyższe obrzydzić, kler rozszerza obecnie zdanie, iż „masony, socjaliści i demokraci“ — to trzy najgorsze wiary“.

W kraju, gdzie jeszcze w ten sposób można prowadzić i prowadzi się walkę z partją dla bezwładu tak mało niebezpieczną, jak Nar. Demokracja, nowoczesna literatura polska nie może liczyć na poczytność. To też taki np. Żeromski, Sieroszewski, Berent, Daniłowski, a nawet pisarze w tendencjach swych daleko bardziej umiarkowani, nie docierają tu prawie zupełnie.

Tym sposobem w czasach, gdy państwa narodowe anektują i starają się zasymilować całe obco-plemieńcze prowincje, by rozszerzyć wpływy swej kultury—nauka, literatura i sztuka polska pozbywają się związku z krajem, który z natury swej powinien im ulegać i zasilać je. A pamiętać trzeba, że gdy mówimy o wpływach kulturalnych, to nie chodzi tu wyłącznie o trudne do ścisłego oznaczenia korzyści moralne. Zważmy, iż apatja kulturalna Poznańskiego odbiera literaturze polskiej dziesiątki, jeżeli nie setki tysięcy czytelników, co w dalszych konsekwencjach ujemnie odbijać się musi na jej produktywności. Pamiętajmy, iż narody przodujące na polu cywilizacji, rozwój swój w znacznej mierze zawdzięczają popularności ich języków; że o tę popularność walczą, bo

M. PAWLIKOWSKI.

Romans Wacława Błockiego.

— Pozwoli pani, że jej złożę życzenia.

Mówiąc to spojrzął na stronę, gdzie, wśród gromady wyfraczonych panów, wznosiła się smukła postać mężczyzny z bezwarunkowo ładną twarzą.

Ira pobiegła za jego wzrokiem i patrzyła jakiś czas z uśmiechem na ustach. Potem przeniosła spojrzenie na interlokutora, który siedział pochylony z szelmowskim wykrzywieniem warg i nabrzmiałą linją sienieży na wysokim czole.

— Czy to szczerze?—spytała, przechylając głowę.

— Co? — niby się zdziwił.

— Życzenie.

Bezczelnie stuknął językiem w podniebienie; potem wyprostował się. Po czole przeszła chmurka zadumy.

Panna Ira zaś zdawała się już zapominać o pytaniu; zupełnie szczerze i otwarcie kontemlowała postać narzeczonego.

Pan Wacław po namyśle rzekł:

— Owszem. Życzyłem zupełnie szczerze. Jeżeli między nami było kiedykolwiek coś, to, bez wątpienia, owe coś dawno należy do przeszłości. Otl—niby zasuszony kwiatek, który niegdyś żył, rozsiewał cudną woń, czarował świeżą barwą.

— I kwiatek ten pójdzie do...śmietnika?

— Bynajmniej. Żyjemy dziwne przywiązanie do wszelkich pamiątek. Nawet nie miałbym odwagi spalić jaki stary, bez wartości list. Chowam wszystko, niby kolekcję, a dla wybitniejszych pamiątek mam specjalną szkatułeczkę. Tam chowam tylko cenne kamienie i kwiaty.

— A ten — kwiat?

— Ten kwiat właśnie pójdzie na schowanie do szkatułeczki.

Roześmiał się wesoło, błysnąwszy zębami. Panna Ira również bawiła się swobodą i wesołą melancholją pana Wacława

Tymczasem w salonie zawrzało.

Ochoczo zagrzemiał mazur; drgnęła podłoga; w powietrzu, wśród blasku elektrycznych kinkietów, frunęły kolorowe suknie tancerek, więc się poczęły czarne postacie panów.

— Dziś, dziś, dziś....

Drgnęło powietrze i wespół z kurzem zachybo-

plyną z niej bardzo realne zyski, obracane na dalszy postęp kultury narodowej. Piśmiennictwo francuskie, angielskie, niemieckie ściągają od obcych olbrzymie kapitały. Podnoszą one znakomicie dobrobyt tamtejszych pracowników umysłowych i dają im niezależność materialną, tak niezbędną dla twórczości duchowej. Tymczasem piśmiennictwo polskie nietylko pozbawione jest korzyści, jakie daje język, w świecie popularny, ale w dodatku traci swoje własne tereny przyrodzone.

Jakkolwiek przykład Poznańskiego jest najbardziej rażący, zwrócić też należy uwagę na kulturalne oddalenie się Galicji od Królestwa. Już dziś w pewnych sprawach dwie te jednak polskie dzielnice, choć mówią tym samym językiem, wzajem zrozumieć się nie mogą. Wiele kwestji zasadniczych, dawno już rozwiązanych w Krakowie,—wymaga w Warszawie długich jeszcze walk i dyskusji. Różnicę taką widzimy chociażby w aktualnej sprawie żydowskiej. Najzagorzalszy antysemita galicyjski nie wyobraża sobie, by można było ograniczać czyjekolwiek elementarne prawa obywatelskie z racji pochodzenia osobnika lub wyznawanej przezeń religji. Tymczasem w Królestwie nawet ludzie światli, postępowi zagadnienie to uważają za nierozstrzygnięte. Jakkolwiek teorie liberalne są w Warszawie daleko bardziej hałaśliwe, niż w Krakowie, jednak takie sprawy, jak kwestja robotnicza, kwestja kobieca i t. p., w Galicji bez porównania bliższe są praktycznego załatwienia. Opinia mas ludowych odgrywa też tu znacznie ważniejszą rolę, niż w Królestwie.

Wskutek takich i im podobnych rozbieżności, odmiennie przedstawia się całokształt kultury narodowej dwu prowincji identycznych pod względem etnograficznym (mam, oczywiście, na uwadze Galicję zachodnią). W związku z tem obserwujemy takie zjawisko, jak odmienny stosunek do jednego i tego samego pisarza obu powyższych dzielnic. Albo np. niepopularność w Królestwie wydawnictw krakowskiej Akademji Umiejętności; zupełnie inne traktowanie sztuki i t. d. Rozbrat idejowy uwidocznił się zresztą jaskrawo w czasie niedawnego naprężenia politycznego; nieporozumianie uwydatniło się tak mocno,

tało w rytm mazura. Zakołychały się kiście martwiejącej palmy, „pod cieniem“ której siedziała Ira z Waclawem.

Po pewnej chwili przemówiła.

— Najmocniej przepraszam za niedyskrecję, lecz w danym wypadku mam do niej—prawo. Chciałabym, mianowicie, wiedzieć, czy długo będzie spoczywać ten kwiat w pańskiej szkatułce?

— Wieki.

— Tak?

— Noo!... Wieki nie wieki! W każdym razie będzie czekać lepszego losu.

— Jakto?

— To znaczy, że będzie czekać, aż jakie tchnienie ożywcze wróci mu piękną barwę, młodą świeżość, cudny zapach.

— Myśli pan, że to kiedykolwiek nastąpi?

— Mam nadzieję.

— A jeżeli—nie?

— Jeżeli—nie, to—nie!

Roześmieli się oboje, lecz zaraz spowaźnieli. W ich stronę, bowiem, zbliżał się właśnie ów piękny młodzieniec.

Waclaw zupełnie otwarcie zrobił grymas, który

że „Czas“ krakowski i „Słowo“ warszawskie dogadać się ze sobą nie mogły.

Wszystko to są tylko drobne przejawy faktu, że zwolna na miejsce jednej polskiej kultury narodowej powstają trzy kultury dzielnicowe.

Jest to niebezpieczeństwo bardzo groźne i dziw, doprawdy, że tak mało się na nie zwraca uwagi. Jakkolwiek walka z tem zjawiskiem jest w naszych warunkach bardzo trudna, lecz stanowczo nie wyyskuje się wszystkich środków, które posiadamy. Istnieją zresztą takie, których nikt nam odebrać nie może; a do nich należy przedewszystkiem budzenie ciekawości życia nietylko dzielnicowego. Są u nas tysiące ludzi, znających wszystkie stolice Europy, a nie mających pojęcia, jak wyglądają, jak żyją główne miasta polskie. Gdyby ustała na tym punkcie obojętność, prawie pewnym być można, iż znalazłoby się bardzo wiele sposobów przeciwdziałania szkodliwym wpływom warunków.

A idzie tu o rzecz wagi pierwszorzędnej—o zachowanie właściwie pojmovanej jedności narodu i o wzmocnienie jego siły twórczej, kulturalnej, siły, dającej stanowisko w świecie.

Józef Sorokowicz.

▷○○○○○○○○◁

Uгода polsko-rusińska.

(Korespondencja własna „Przegl. Wil.“).

Lwów 30 marca.

Sejm galicyjski, który d. 5 (18) marca rozpoczął nową sesję, ma obecnie przed sobą zadanie epokowej doniosłości. Od szeregu lat na plan pierwszy spraw krajowych występuje postulat zreformowania ordynacji wyborczej w duchu demokratycznym i odrodzenia autonomicznej izby poselskiej przez dopuszczenie do niej świeżych sił społecznych. Do długich walk i targów żywiołów konserwatywnych z postępowcami, obok względów socjalnych, mieszały się kwestje narodowościowe.

został odparowany dziwnym, trochę przekornym uśmiechem Iry.

— Nie przeszkadzam? — z uśmiechem spytał nowoprzybyły, jednocześnie patrząc poważnie w oczy narzeczonej.

— Bynajmniej, — odparł półgębkiem Waclaw. Potem wstał i oddalił się, lawirując wśród korowodu rozochoconych par.

— O czym mówiłaś z nim?—prędko spytał, gdy Waclaw zniknął z oczu.

— Wcześniej zaczynasz być zazdrosnym.

Błysnął czarnymi oczami i wstrząsnął głową.

— Nie jestem zazdrosny, ale nie lubię tego... Błockiego.

— Czemu? Jeżeli widzisz w nim rywala, to...

Machnął ręką pogardliwie.

— Jesteś moją i będziesz moją, choćby mi przyszło stoczyć walkę z całym legionem takich Błockich.

Roześmiała się rozkosznie, z przyjemnością ślizgając się wzrokiem po czystych, jak z marmuru kuty, linjach twarzy, po całej krzepkiej i smukłej postaci wybranego.

On zaś ciągnął dalej.

— Nie o to mi chodzi. Błocki jest kabotynem

One to komplikowały sprawę, utrudniały, a nawet — zdawało się chwilami — czyniły ją wręcz niemożliwą do rozwiązania. Szło mianowicie o rusinów, którzy zbyt radykalnie przystępowali do windykacji swych pretensji; nie liczyli się z realnymi warunkami, a czasami stawiali nawet żądania wprost fantastyczne, nie orjentując się, iż ulegają podszeptom czynników, mających interes w dalszym podsycaniu waśni narodowościowych. Z drugiej strony — niełatwo też było i większości stronnictw polskich polskich pogodzić się z koniecznością wielu ustępstw. Ogół nasz przywykł od wieków uważać Galicję za kraj, bezwzględnie podległy wpływowi polskiemu; przywykł czuć się w nim gospodarzem, którego interesy i wola stanowią w polityce wewnętrznej moment główny, jeżeli nie wyłączny. Naturalną i zrozumiałą jest rzeczą, iż ogółowi temu — w większości, jak zawsze, inercyjnie — trudno było uznać słuszność dążeń rusinów, zmierzających do emancypacji i równorzędnego z polakami stanowiska.

Sprawa więc szła w odwłokę.

Tymczasem jednak samo życie coraz gwałtowniej domagało się reformy. Nawet te stronnictwa polskie, które na myśl o pretensjach rusinów, cofały się ku *status quo*, przekonywały się stopniowo, że dalej tak być nie może, że pewne minimum zmian stanowi konieczność elementarną. Równocześnie orjentowały się one, iż niektóre ustępstwa na rzecz rusinów uczynione być muszą bez względu na trwałość całokształtu prerogatyw polskich.

Uwzględniając to, po długich i żmudnych krowodach doszedł do skutku kompromis ludowców, demokratów polskich i konserwatystów zachodniogalicyskich; partje te, popierane nadto w niektórych punktach przez socjalistów, uznały przeprowadzenie ugody polsko-rusińskiej za sprawę równorzędną z kwestją reformy wyborczej i dającą się na jej właśnie tle przeprowadzić.

Rzecz oczywista, iż w tych warunkach sama reforma musi być bardzo daleką od ideału demokratycznego; ocenianie jej z tego punktu widzenia byłoby zgoła niewłaściwe; byłoby nawet pospolitą

niesumiennością. Zasadnicze punkty, na które zgodzili się polscy konserwatyści, polscy postępowcy i przedstawiciele polskiego włościanstwa, miały bowiem na oku przede wszystkim możność porozumienia się z rusinami. I to właśnie udało się osiągnąć. Do kompromisu z powyższymi trzema partjami polskimi (reprezentującymi znakomitą większość ludności zachodniogalicyskiej) przystąpili ukraińcy, t. j. stronnictwo, za którym stoi cały niemal ogół rusinów.

Wielce znamieną jest okoliczność, iż na czele tego przymierza — a po części nawet jako jego organizator — stanął przedstawiciel rządu centralnego, namiestnik Bobrzyński. Wiedeń oddawna już parł do załatwienia ugody polsko-rusińskiej. Jakkolwiek z tego powodu w prasie naszej odzywają się głosy rozmaite, rzucające podejrzenia na ową interwencję austriacką, nam jednak wydaje się godnym przypomnienia, iż dotąd polityka habsburska służyła z zasady „*divide et impera*”. Obecnie daje się zauważyć tak w sprawie polsko-rusińskiej, jak i niemiecko-czeskiej zwrot radykalny. Wiedeń pragnie zgody poddanych sobie ludów. Ma to niewątpliwie bliski związek ze zdemokratyzowaniem państwa kosztem prerogatyw korony i intrygującej biurokracji.

Nie ulega jednak wątpliwości, iż — co się tyczy specjalnie kwestji polsko-rusińskiej — rząd centralny ma tu na oku взгляд inny jeszcze. Niepokoi go panowanie wśród rusinów ustawicznego fermentu, który — przy niskiej kulturze mas — może być wyzyskiwany nawet przez czynniki wrogie zarówno państwu, jak i interesom tego ludu. Dowodem — chociażby pewne powodzenie agitacji grafy Bobrińskiego i wzrastająca czelność jego prokurenta, Dudykiewicza.

Wszelako niezależnie od powyższych względów rządu austriackiego, przeprowadzenie ugody polsko-rusińskiej jest przede wszystkim sprawą postępu, sprawą kultury.

Uchwalona d. 4 (17) marca przez komisję reformy wyborczej, podstawa ugody przyznaje rusinom 62 mandaty sejmowe (polakom 166). Nadto mają mieć rusini dwu członków Wydziału Krajo-

i marzycielem, — marzycielem tego niebezpiecznego gatunku, co lubią swoje marzenia wprowadzać w czyn. Jest tchórzem, ale nie cofnie się przed żadnym krokiem, gdy go ogarnie jakaś zmora chorobliwa. Nie lękam się o siebie, bo potrafię go usunąć ze swej drogi, ale o ciebie boję się, Iro.

Słuchała z uśmiechem. Przy ostatnich słowach wstrząsnęła głową, a uśmiech zmienił się w grymas.

— Boję się, — ciągnął, zapalając się — nie o twoją duszę, czystą i nieskalaną... Wierzę, że mnie kochasz i nie boję się spółzawodnictwa takiego Błockiego... Ale on nosi ze sobą zgniliznę duchowej pustki. Każda fibra jego istoty jest przesiąkniętą tą zgnilizną. Ty — pojęcia nie masz. To — potwór z maską bajronizmu.

Uśmiech nie schodził z warg Iry.

— Jasiu, — rzekła po chwili — kochał mnie kiedyś. Nawet ja może... kochałam go. W każdym razie — żyliśmy ze sobą parę miesięcy bardzo blisko. Przez ten czas mogłam go poznać. Wiedziałam i wiem, że jest to dziwak, manjak, megaloman, a mimo to wszystko — człowiek szlachetny i dobry. Przede wszystkim — nieszkodliwy.

— Potwór! — oburzył się Bojański. — Jeżeli jego

nędza moralna nie udzieliła się tobie, to tylko dlatego, że jesteś święta, że masz duszę jak kryształ, że...

— Nudzisz mię... — Powstała z miejsca i z wolna odeszła, zostawiając po sobie czar żmysłowości i woń konwalji.

Patrzył za nią stęsknionym wzrokiem, potem westchnął i z rezygnacją powlókł się za nią.

Wacław Błocki pokreślił się po salach klubowych, pogawędził ze znajomymi, poczem, widząc, że z trudem hamuje gwałtowne ziewanie, — wyszedł.

Po chwili pędził saniami po ulicach uśpionego miasta.

Na czarnym stropie nieba świeciło blade widmo księżycy, srebrząc pokryte śniegiem dachy i puste ulice.

Pęd powietrza dął mu oddech, mróz szczypał policzki. Z lubością wtulił się w futrzany kołnierzyk i wygodnie rozwalął się na siedzeniu.

— Dokąd? — spytał wóznica.

— Do domu.

Brzęk dzwonek biegł jęklivym echem po śpiących ulicach, odbijał się od mrocznych kamienic, dzwijał w zmartwiałych, wzorzystym szronem po-

wego, przedstawiciele swoich w komisjach sejmowych, a wreszcie udział w delegacjach do wszystkich instytucji krajowych.

Ogłoszenie ustępstw tych zmobilizowało trzy stronnictwa: wszechpolaków, podolaków (magnatów wschodnio-galicyjskich) i — do kompanji — „moskalofilów“.

Wódz wszechpolaków, dr. Głabiński, sformułował już zarzuty, jakie kompromisowi stawia Demokracja Narodowa. „Sejm polski — wołał on na sejmiku relacyjnym we Lwowie — przestanie być polskim, zasady autonomji politycznej kraju, jako całości i cała tradycja historyczna sejmuna-leżeć będą do przeszłości“.

Wszechpolacy zdają się nie rozumieć (a może udają tylko, że nie rozumieją), iż przedstawicielstwo kraju polsko-rusińskiego nie może wiecznie mieć charakteru wyłącznie polskiego. Było to możliwe dopóty jedynie, dopóki ogół rusiński składał się z ciemnego chłopstwa i dopóki chłopstwo owe — zarówno polskie, jak rusińskie — nie dorastało do stanowiska czynnika politycznego. Obecnie jedno i drugie uległo zmianie. Rusini z bezkształtnej, nieróżnicowanej masy włościańskiej zdążyli już (na gruncie galicyjskim przynajmniej) przeobrazić się w naród, posiadający już własną inteligencję, literaturę, sztukę — zdobywający wogóle coraz bogatszą odrębną kulturę. Co jednak może i ważniejsze, to okoliczność druga: mianowicie, że w państwie austriackim sfery ludowe przysły już do głosu i w polityce odgrywają rolę, która nie maleć będzie, ale się powiększać. Zadanie więc bezwzględnie szanowania tradycyjnemu polskiego charakteru Sejmu jest albo bezmyślnością, albo demagogją. Niestety, o bezmyślność dr. Głabińskiego posądzić nie można; demagogją natomiast przywykliśmy już uważać za stały atrybut Narodowej t. zw. Demokracji.

Tuż obok tej „demokracji“ stanęli, jak się rzekło, t. zw. podolacy, konserwatyści wschodnio-galicyjscy, przedstawiający żywioł w kraju najreakcyjniejszy, bo rekrutowany wyłącznie z bogatych obszarników. Wszelako znaleźli się pomiędzy nimi ludzie, stawiający interes kraju ponad

prywatą. Jednym z nich jest obecny marszałek, Adam hr. Gołuchowski, najczystszej krwi szlachcic podolski, który jednak ugodę szczerze, całą duszą popiera.

Postacie takie z dziejów polskich znamy; są one ich chlubą.

Element komiczny reprezentuje trzeci sojusznik reakcji — „moskalofil“ Dudykiewicz, który, będąc na żoldzie hr. Bobrńskiego ma pretensje, że reforma nie wprowadza... głosowania czteropriemiotnikowego. Ni mniej, ni więcej.

Dr. Głabiński, który nad całą tą kompanją objął komendę, zapowiedział już bardzo ostrą przeciw ugodzie i reformie walkę. Grozi on nawet, w razie potrzeby, zdekompletowaniem Sejmu.

Grożba to poważna. Sojusznikom, jakkolwiek stanowią mniejszość, sił na to wystarczyć może. By jednak krok ten (uczyniony do spółki z Dudykiewiczem) nie odbił się szkodliwie na popularności wszechpolaków, rozwinęli oni nader żywą agitację, w której — budząc niby świadomość narodową — podniecają antagonizmy plemienne.

Czy im się uda projektowane wielkie dzieło udaremnić — niedaleka przyszłość pokaże.

Bezstronny.

▷○○○○○○○○◁

Kwestja żydowska w Królestwie.

(Dokończenie).

Stoją na tem stanowisku nie tylko elementy mieszczańskie, lecz świadomi przedstawiciele najwięcej zainteresowanego w tej sprawie ludu polskiego („Zaranie“), stoi — większość inteligencji polskiej, bez względu na przynależność partyjną.

Nie zajmuje tego stanowiska tylko garść inteligencji, wychodzącej z założeń doktrynersko-humanitarnych i klasowych.

Pierwsi nie chcą widzieć niedoli milionów wychodźstwa polskiego, a roztkliwiają się nad losem sklepikarzy żydowskich.

krytych oknach. Od koni waliły kłęby pary i srebrzyły się w odbłaskach księżycy.

Blocki zadumał się.

Nie był zadowolony z siebie. Wedle programu, miał dzisiaj rozpocząć „pierwszy krok“, tymczasem odrazu spotkał się z silną zaporą. Z innej strony — w całej istocie poczęło rozlewać się morze znudzenia.

Czy warto?...

Lecz pokusa była wielka.

Ira ma wszystkie możliwe zalety, których próżno szukał u innych kobiet.

Ta subtelność uczuć, przerafinowana zmysłowość, wreszcie — hipokryzja.

I wszystko w bardzo miłej dla oka postaci.

Kochał ją wszak kiedyś. Był głupi i kochał. Szukał wtedy ideału i właśnie ona miała być tym ideałem.

Do cielesnej doskonałości nic nie brakowało, poczynając od nóg posagowych, a kończąc na złotych splotach włosów. A dusza? — Tutaj grubo się omylił. Był młody a więc i niemądry. Myślał, że taka anielska, wysniona, etc. postać nie może nie być personifikacją duchowego ideału.

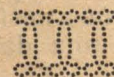
Nie wiedział, że Ira posiada cały milion ducho-

wych „zalet“, których teraz nawet, po długich studiach, nie może objąć i pojąć.

Dziś, gdy widział jej zagadkowy uśmiech, lub powłoczyste spojrzenie żywych turkusów, nie czuł tego niepokoju, które w nim budziły inne kobiety, noszące ze sobą czar zmysłowości i pożądania. Czuł tylko subtelny, wyrafinowany, niejako, — estetyczny pociąg. Pociąg, co nie budzi pożaru żądz, nie przepala nerwów, nie mąci rozsądku.

Pożądał ją z głęboką premedytacją człowieka, który zna dobrze własną cenę i cenę obiektu swych żądz; pożądał ją bez ślepego zapamiętania, przeciwnie, analizował swój pociąg do najdrobniejszych szczegółów i odcieni; pożądał ją, jak esteta, i jak esteta, kochał się nie w niej, a w każdej cząstce, fibrze jej smukłej postaci.

(D. C. N.).



Dla nich nie jest tragedją zagrożenie ze wszystkich stron bytu narodowego, dla nich nie jest najpierwszym obowiązkiem dbałość o przyszość narodu. Oni są „wyżsi“ ponad to. Oni użalają się nad krzywdą żydów. Jakby mało było krzywdy pod słońcem i jakby obowiązkiem polaka było kosztem własnego bytu wszystkie te krzywdy umarzać.

Nie romantyzm to już, to naiwność, lub histerja.

Bo w czasach romantyzmu, gdy polacy istotnie walczyli po wszystkich krańcach świata o wolność cudzą, to walczyli przez wzgląd na wolność ojczyzny i dla ojczyzny.

Jakimże zaś czynem dla ojczyzny byłoby ustępowanie wrogowi na własnych śmieciach, jakim bohaterstwem może być szaleńcze samobójstwo?

Takie samo stanowisko, — tylko z innych założeń wychodząc, zajęli marksiści, ci przynajmniej, co głos zabrali, bo większość socjalistów polskich dotąd przeważnie milczy.

Takie stanowisko zajęli ci marksiści nasi, którzy wogóle interesy narodu polskiego, jako takiego, traktują po macoszemu. którzy uważają, że losy narodu naszego, jego potrzeby, dążenia — psują im prostolinijność koncepcji socjaldemokratycznej, psują szablon myśli, psują schemat międzynarodowych programów, wreszcie, utrudniają skłoną do wygodnych a prostych założeń orientację.

Sama przez się sprawa polska jest dla nich szkopułem nielada, najlepszymi sprzymierzeńcami w uproszczeniu jej i scentralizowaniu — byli i są żydzi, towarzysze i nie towarzysze, a tu naraz nowy szkopuł — sprawa żydowska.

Ponieważ ludzie ci, jako typowi doktrynerzy, nie przywykli zjawisk życiowych zgłębiać i obserwować wszechstronnie, a dopiero na ich zasadzie wyprowadzać wnioski, lecz przeciwnie po wszelkie odpowiedzi na pytania życia sięgali i sięgają do doktryny, programu, paragrafu, więc i w danym wypadku bez długich rozważań orzekli, że kwestja żydowska — to kwestja mieszczaństwa polskiego i żydowskiego, że kwestja ta nie powinna i nie może obchodzić robotnika polskiego, że zaciemnia ona walkę klasową. Jako ludzie konsekwentni, przedstawiciele tego obozu nie omieszkali jednak, ma się rozumieć, wystąpić w obronie mieszczaństwa żydowskiego, jako klasy, widocznie, krzywdzonej, przeciwko ludowi polskiemu i mieszczaństwu polskiemu, jako snać klasom krzywdzącym.

A więc krzyczą gwałtu, bo znaleźli się w Polsce ludzie, którzy chcą grosz swój zostawić w kieszeni rodaków. Mają pretensje do wzgardzonych mieszcuchów polskich, że chcą zakładać polskie sklepy, hurtownie, mają pretensje do mieszczaństwa polskiego, do inteligencji polskiej, do ludu wiejskiego, że chcą walczyć o swój byt, swe istnienie.

O niebezpieczeństwie jakimkolwiek dla dążeń narodu polskiego, jego kultury — ze strony żydów — nie mówią, bo żadnych dążeń narodowych, kulturalnych, wspólnych z innymi klasami społeczeństwa, nie uznają, bo sami są centralistami, pozostawiającymi załatwienie kwestji narodowościowych „absolutowi“ materjalizmu dziejowego — w przyszłości.

W obozie, uznającym konieczność polszczenia miast, również niema i nie może być jednakowych poglądów. Stosunek do kwestji żydowskiej jest tak

różny, jak różne są interesy poszczególnych klas i odłamów narodu.

Mieszczaństwo, które opiera się na zasadzie wolnej konkurencji, jest poniekąd w sprzeczności ze swem założeniem, bo występuje przeciw konkurencji żydów. Ono chce tylko handel żydowski przejąć w swoje ręce.

Aby tego dokonać ogłosiło hasło bojkotu handlu żydowskiego, czyli, mówiąc jaśniej, hasło kupna u swoich, w sklepach polskich.

Nie opierając się na żadnych społecznych zasadach konsumpcji i sprzedaży, jako przeciwnych jego psychice, mieszczaństwo wzywa przeto rodaków do dobrowolnego poparcia ich zamierzeń.

Jakkolwiek bojkot handlowy, jak wogóle handel społeczny, nie ma nic wspólnego z ideologją demokracji, niema w nim przecież nic oburżającego, nic nieludzkiego, jest to zwykła broń ekonomiczna, inna rzecz, czy zawsze celowa.

Nic na tem konsument polski nie straci, jeżeli kupi w sklepie polskim, a nie żydowskim, bo kupi tylko wtedy, jeżeli sklepy te nie będą droższe i nie będą dawać towarów gorszych. Dopóki istnieje handel żydowski, konkurencja sama nie dopuści do srubowania sztucznego cen. Jeżeli zaś handel żydowski upadnie, jak to przewidują groźnie przeciwnicy bojkotu, to snać handel polski będzie tak silny i liczny, że również zbytniego wyzysku konsument obawiać się nie potrzebuje.

W całej przeto historii bojkotu, którą pisma żydowskie i rosyjskie rozdeły do granic niemal pogromowych — nic strasznego, ani nadzwyczajnego niema. Jest to zwykła walka, walka, która w ustroju kapitalistycznym wre wszędzie.

Inna rzecz, że walka ta odbywać się powinna spokojnie, bez ekscesów i gwałtów, bez frazesów górnych, które w zetknięciu z rublem tracą obłudą i profanacją uczuć.

Takie są drogi do polszczenia miast, wskazwane przez mieszczaństwo.

Inne jest stanowisko demokracji polskiej.

Nie może ona poprzestać na bojkocie, który jest bronią bierną, wątpliwą i nietwórczą, nie może iść temi drogami, co mieszczaństwo, nie może pchać lud na ślizkie drogi wolnej konkurencji, walki wszystkich przeciw wszystkim.

Ona może i powinna usuwać wogóle wszelkiego pośrednika handlowego, jako pasożyta społecznego, ona może i powinna tworzyć już w ustroju kapitalistycznym załazki i szkoły społecznego gospodarstwa. Aby tego dopiąć, musi tworzyć kooperatywy, lecz nie takie, jakie istnieją obecnie w Królestwie, gdzie niema ani zrozumienia ich znaczenia, ani pojmowania ich celu, gdzie są one raczej sklepami spółkowymi drobnych kapitalistów, którym chodzi jedynie o tańszy towar i możliwie największy procent od kapitału, gdzie pracownicy są przeważnie marnie płatni i dbają nie tyle o instytucję, co o swe doraźne zyski.

Kooperatywy demokratyczne winny z góry mieć wytknięty cel społeczny; winny udziałowcom dawać tylko towar tani i dobry, a czyste zyski winny być obracane na rozszerzenie ich działalności oraz na szkoły i inne instytucje społeczne.

Kooperatywy takie będą najpewniejszą bronią przeciw żydom, bo tam, gdzie rozwina swą działalność i gdzie się utrwała, usuną na zawsze wszelkiego pośrednika, a zarazem będą najlepszą w naszych warunkach drogą do społecznego, gospodarczego i kulturalnego kształcenia ludu.

Nie potrzeba, ma się rozumieć, wstydliwie

kryć pod korcem i tego, że rozwinięcie działalności spółdzielczej jest obecnie potrzebne ludowi nie tylko ze względów ekonomicznych i kulturalnych, lecz i politycznych, t. j. że akcja ta skierowana jest i przeciw wrogim nam żydom, którzy w kraju polskim dziś, a zapewne, i długo jeszcze będą prawie wyłącznymi przedstawicielami handlu i pośrednictwa.

* * *

Jednym z największych złudzeń społeczeństwa polskiego zwłaszcza postępowej jego części, w kwestji żydowskiej — była t. zw. asymilacja. Pozbawione własnej państwowości, własnego szkolnictwa, nie posiadające siły ekonomicznej, walczące z trudem o zachowanie własnej odrębności i kultury, społeczeństwo sądziło, że będzie w stanie podbić kulturalnie, zasymilować milionowe rzesze żydów.

Na zasadzie tego, że setki żydów przyjęły całkowicie narodowość i kulturę naszą, że położyły zasługi dla nauki, literatury, instytucji społecznych, że tysiące inteligencji żydowskiej przyjęło język polski i zewnętrzne cechy kultury, sądzono, że całe masy żydowskie, żyjące życiem odrębnym, zasymilują się z czasem.

I trzeba było napływu ze wschodu kilku tysięcy żydów rosyjskich, by wszystkie te złudy zostały obalone w niwecz, by nadzieje różowe okazały się płonne, by charakter asymilacji ukazał się we właściwym świetle.

Okazało się, że asymilacja, która od roku 1863 do czasów niemal ostatnich zrobiła postępy pewne, była zjawiskiem przejściowym. (Podkreślił to też p. Bikerman w wyżej wspomnianym artykule „Polsko-jewrejskaja raspria“).

Młodzi żydzi, którzy wychodzili z otoczenia ghetta, otoczenia ludzi ciemnych i nie mających wspólnego z kulturą społeczną, na ławie gimnazjalnej, w uniwersytecie i później w życiu musieli przyjmować kulturę otoczenia, a więc polską, o ile wogóle do kultury dążyli.

Szkolnictwo, nie zrussyfikowane jeszcze całkiem po roku 1863, prąd pracy organicznej, filozofja pozytywistyczna, która nadawała ton życiu polskiemu, — znakomicie do przyjmowania kultury polskiej młodemu żydom, wychodzącym z środowiska kultu rubla, — pomagały.

Z tych to czasów rekrutują się przeważnie zastępy inteligencji, które wytworzyły typ t. zw. żydów-polaków i które utwierdzały wiarę w asymilację w społeczeństwie polskim.

Gdyby społeczeństwo polskie stanowiło siłę zwartą i potężną, posiadało lub posiadało wówczas władzę polityczną, gdyby w kraju naszym proces polszczenia miast już wówczas się odbywał świadomie i celowo, asymilacja inteligencji żydowskiej kroczyła by naprzód i, może, pociągała masy.

Niestety, nic podobnego miejsca nie miało. Przeciwnie od 1863 roku spoistość i siła społeczeństwa polskiego stale się umniejszały, a handel, przemysł, a z niemi wpływy żydowskie w miastach się zwiększały.

Napływ żydów rosyjskich, pełnych, pomimo a, może, dzięki prześladowaniom, uwielbienia dla potęgi rosyjskiej, oddziałał na żydów polskich otrzewiająco. Z jednej strony utwierdził ich w przekonaniu o słabości polaków, z drugiej uprzytomnił im ich siłę ekonomiczną.

Odtąd asymilacja blednie i taje.

Poza drobnym odłamem żydów, który spol-

szyzył się zupełnie, a więc zerwał więzy z masami żydowskimi, większość owych żydów-polaków zaczęła po trochu odwrót,*) parta przez masy, opalone przez prowodyrów „litwackich“.

Zależność ekonomiczna i ów specyficznie „materialistyczny“ światopogląd inteligencji żydowskiej w tym odrocie grają rolę pierwszorzędą.

Ma się rozumieć, odwrót ten nie może odbywać się bez pewnego rodzaju rozterki wewnętrznej.

Wpływy kultury polskiej bądź co bądź tkwią w tych ludziach.

To też inteligencja żydowska próbuje ratować pozory i uderza w surmy humanitaryzmu, odwołuje się do tradycji polskich, nakazuje zgodną symbiozę.

Tak występuje na łamach pism, drukowanych po polsku, w Cesarstwie zaś na łamach „Odeskich Nowostiej“, „Nowego Woschodu“, „Dnia“ — donośnie głosi, że okres asymilacji należy uważać za skończony, że Królestwo jest krajem polsko-żydowskim, że marzenia polaków są romantyczną chimera, że żydzi posiadają dziś w Królestwie siłę kulturalno-ekonomiczną, mają wpływy i będą je mieć, pomimo, czy wbrew polakom.

I trzeba panom tym przyznać rację. Dziś warunki się układają tak, a nie inaczej.

Inaczej zaś może być tylko wówczas, gdy polacy będą dążyć do siły nie tylko kulturalnej i politycznej, lecz i ekonomicznej, tak niezmiernie waznej w wieku Złotego Cielca.

Wi—ski.

◁○○○○○○○○○▷

Listy ze Wschodu.

II.

Ludność Krymu składa się z odłamów lub szczątków rozmaitych narodów napływowych. Jakięgoś ludu stałego, tubylczego — niema. Starożytna kolonizacja grecka, osadnictwo handlowe genuenńczyków, którzy w wiekach średnich władali brzegami Krymu i prowadzili tędy handel wymieniony ze Wschodem, rzesze ludów barbarzyńskich, zaludniających głąb półwyspu, — wszystko to zostało w następstwie zmiecione przez najazd tatarski. Tatarzy bądź wyparli, bądź pochłonęli poprzednich mieszkańców kraju. Starli całkowicie ślady poprzedniej kultury autochtonów i osadników handlowych, zniwelowali historyczne układy cywilizacyjne, zaleli kraj cały, jak powódź, i zatopili jego przeszłość. Jeno bardzo nieliczne szczątki ludności pierwotnej przetrwały najazd tatarski i zachowały się do dziś (do takich należą przede wszystkim karaimi krymscy).

Niedawną jest jeszcze ta przeszłość, kiedy

*) Zastrzegamy się kategorycznie przeciwko powyższemu zdaniu autora. Zmniejszenie się wpływów asymilacyjnych przypisać należy przede wszystkim wzrostowi świadomości narodowej żydów. Nie rozróżnianie nacjonalistów żydowskich i żydów, garnących się do kultury polskiej jest kapitalnym błędem, popełnianym przez obecny ruch antyżydowski i jego publicystów. Zarzut, że żydzi — polacy siedzą na dwóch stołkach, są uieszczery i t. p. nie wytrzymuje krytyki. Nie uwzględnia się tu trudnej sytuacji i stadium przejściowego, w jakim muszą się znaleźć ci żydzi, którzy swymi sympatjami ciężą ku kulturze polskiej, pochodzeniem zaś i tradycjami tkwią w środowisku żydowskim. Wszelkie posądzenia o perfidję — są zupełnie nie na miejscu.

tatarzy byli wyłącznymi gospodarzami tego kraju. Po złamaniu ich potęgi politycznej i wcieleniu Krymu do państwa Rosyjskiego, nie tylko że się skończyła ich dominacja, ale też przysła jednolitość kultury tatarsko-mahometańskiej w kraju i w miejscu jednolitości tej tworzyć się zaczął nowy złożony układ ludnościowy.

Rdzeń wszakże ludności krymskiej stanowią jeszcze dotąd tatarzy. Dziś są oni jednak wypierani i usuwani do roli podrzędniejszej. Są wypierani z ziemi przez zwycięską kolonizację niemiecką, w miastach zaś dostarczają kontyngensu niższemu kadrom ludności robotniczej. Są wśród nich jednostki bogate, ogół wszakże jest ubogi, przeważnie ciemny i niezaradny. W miastach uboższa ludność tatarska zamieszkuje dzielnice odrębne, tworzące charakterystyczne i malownicze kolonie: niskie lepianki z szarej gliny pośród dziedzińczyków, oddzielonych od ulicy takimże niskim murem z gliny, zaułki wąskie i kręte, bez żadnego planu w kierunku i wymiarze, brud, gromady psów, a wśród tego same tylko postacie kobiet tatek, jedynych we dnie mieszkańek dzielnicy, bo mężczyźni idą na dzień do pracy na miasto; młode dziewczęta tatarskie ubierają się chętnie kolorowo, a czoło i włosy ozdabiają malowniczym fezem, wykładanym błyszczącymi blaszkami lub naszywanym przeróżnymi ozdobami. Kobiety a zwłaszcza malowniczo-strojne dziewczęta odbijają jaskrawym kontrastem, jak żywe kolorowe plamy, od szarego tła glinianych murków i lepianek, gdzie żadne drzewko nie ożywia barwą i kształtem martwego krajobrazu dzielnicy. W głębszych miejscowościach wiejskich i górskich kobiety tatarskie noszą jeszcze tradycyjne zasłony na obliczu, lecz zwyczaj ten stopniowo wychodzi z użycia. Dzielnice tatarskie w miastach krymskich są bardzo charakterystyczne; są to wzorki szablonów miejskich Azji Mniejszej i całego Wschodu muzułmańskiego.

Ludność tatarska Krymu, choć liczna i wyrazista swą charakterystyczną odrębnością kulturalną, sprawia jednak smutne wrażenie rzeczy wymierającej, zanikającej. Nie do niej należy przyszość tego kraju, nie ona urobi ją ze wzorów kultury własnej. Kultura ta się rozkłada i ustępuje miejsca nowym wzorom, nowym formacjom zdobywczym. Nie promieniuje ona nazewnątrz, nie kształci typu krajowego na modłę swoją w żadnej dziedzinie, czy to budownictwa i sztuki, czy zwyczajów, czy jakichś elementów rozwoju ekonomicznego i układu społecznego. Przestała być czynnikiem twórczym a staje się natomiast coraz bardziej szkieletem szczałkowym, bez mocy, bez zdolności zapładniania życia. I im bardziej odrębna jest ta kultura, im bardziej jest charakterystyczna, tem bardziej rażąca jest jej niemoc, jej bezwład wobec nowych kształtujących się form życia.

Oprócz uprawy ziemi, z której zresztą stopniowo wypierani, i robocizny zarobkowej w mieście, tatarzy w masie swojej nie są czynni w żadnych innych gałęziach wytwórczości krajowej. Handel detaliczny w miastach jest przeważnie w ręku żydów i karaimów oraz ludności napływowej z Kaukazu i Grecji.

Minjaturowy ludek karaimów stanowi jedyną bodaj pozostałość dawnej ludności tubylczej, niepochlönietą przez najazd tatarski. Potomkowie groźnych niegdyś chazarów, nawrócenii na judaizm, zdołali karaimi zachować swoją odrębną kul-

ture psychiczną, opartą przeważnie na pierwiastkach zwyczajowych i religijnych.

Odrębność ludu tego funduje się nie na określonej kulturze terytorjalnej, jak u osiadłych ludów Europy, lecz na czynnikach zgoła innych. Jest to nie tyle naród w pojęciu europejskim, ile sekta i rasa. Potomkowie koczowników chazarów, wyparci lub ujarzmieni przez nowe hordy najeźdźców muzułmańskich ze wschodu, w dużej ilości się rozproszyli po ziemiach sąsiedniej Rzeczypospolitej, gdzie dotychczas przetrwały kolonie karaimskie w Galicji, na Wołyniu, Białej Rusi i Litwie. Główna zaś masa ich pozostała w Krymie, jako kolonia odrębna wśród zdobywców tatarskich. Jak żydzi w Europie, jak ormianie w Polsce i na Rusi, jak tatarzy litewscy, tak karaimi stali się obywatelami krajów, w których zamieszkali, zachowując jednocześnie odrębną organizację religijno-zwyczajową.

Nie mają oni właściwej ojczyzny; gdzie znaleźli gościnę, tam się zaaklimatyzowali, tworząc społeczność odrębną w rdzennej społeczności kraju. Obce im jest właściwie to pojęcie narodowe, które cechuje osiadłe terytorjalne narody europejskie. Nie mają języka własnego, nie mają zmysłu państwowości własnej. Natomiast wszystkie rozproszone po rozmaitych krajach kolonie bez względu na odrębność mowy, której używają, i układów społeczno-państwowych, do których należą, są związane żywym poczuciem wzajemnej solidarności religijnej, rasowej i zwyczajowej.

Mają ludek karaimski, liczący ogółem najwyżej kilkanaście tysięcy dusz, ma swój główny ośrodek ludnościowy w Krymie. Krym jest więc poniekąd metropolją tego ludu, co nie znaczy wszakże, aby był przezeń uważany za jego ojczyznę-właściwą. Tu jeno zachowały się najliczniej jego pamiątki historyczne, świątynie, księgi święte, wogóle to, co stanowi główną podstawę łączności wzajemnej i wyodrębnienia. Języka używają karaimi krymscy tatarskiego, jak gdzieindziej używają polskiego, rosyjskiego, białoruskiego.

Stanowią oni w Krymie ludność miejską i są bardzo nierównomiernie rozsadzeni. W kilku jeno miastach, jak w Bachczysaraju i głównie w Teodozji, starożytnej Kaffie, są skupieni w większej ilości. Są wśród nich bogacze, wielcy przemysłowcy, jak znany fabrykant Stamboli, potentat teodozyjski. Najliczniej są oni zatrudnieni w handlu detalicznym, który wespół z żydami zmonopolizowali niemal.

Ciekawy też i charakterystyczny jest układ ludności żydowskiej w Krymie. Są tu właściwie dwie odrębne społeczności żydowskie. Jedną stanowią żydzi miejscowi, od wieków tu osiedli, pochodzący jeszcze z czasów tatarskich; są to t. zw. żydzi—„krymczaki“. Drugą stanowią żydzi napływowi, żydzi rosyjscy, odpowiadający t. zw. żydom „litwakom“ w Polsce.

„Krymczaki“ używają języka tatarskiego w mowie potocznej, są o wiele bardziej zacofani, przywiązani do litery religijnej i obrządków, do starożytnych zwyczajów i tradycji świętej, niż ich spółwyznawcy i rodacy z Rosji. Śród żydów napływowych przeważa oczywiście element bardziej ruchliwy i przedsiębiorczy. Przyjeżdżają tam i osiadają naturalnie nie nędzarze żydowscy z naszych miasteczek i zaułków miejskich, ale jednostki sprytniejsze, żywsze, należące do inteligencji lub t. zw. półinteligencji. Jednostki te należą do tych sfer żydowskich, które zostały już dotknięte pokostem kultury europejskiej i w których staro-

żytność rasy i religii zatraciły już swą czystość pierwotną. Umysłowość żydów szybko się, jak wiadomo, w ostatnich czasach modernizuje. Zasadnicze pojęcia samej świadomości bytu społecznego i narodowego ulegają w masie żydowskiej i zwłaszcza w inteligencji—głębokiej przemianie. U żydów zaczynają się budzić i kształtować pojęcia narodowe, które dotychczas były im obce. Nacjonalizacja żydów, jako wytwór najnowszy, ujawnia się coraz potężniej w odpowiednich ruchach i kierunkach politycznych, nurtujących społeczność żydowską.

Ciekawe jest też to, że proces unarodowienia się żydów jest wyrazem nie pogłębiania się tradycyjnych historycznych cech żydowskich, skupionych w religii i układzie zwyczajowo-rasowym, ale wyrazem rozpadania się tych cech archaicznych i przenikania do umysłowości żydowskiej ogólnych szablonów społecznej kultury europejskiej.

Ten proces unarodowienia się jest najintensywniejszy wśród żydów w Rosji, Litwie i Rusi, t. j. tam, gdzie skupienie ich jest największe a prawa obywatelskie najszczuplejsze.

W Krymie ta dwoistość żydów przyjezdnych i miejscowych, jest bardzo widoczna. Żydzi miejscowi—„krymczaki“—stanowią stary typ społeczności żydowskiej: wyznaniowo-rasowej. Żydzi rosyjscy natomiast stanowią nową społeczność narodową. Między temi dwiema społecznościami pokrewnymi pochodzeniem, ale dalekimi kulturą i ideologią, jest duży antagonizm. Żydzi rosyjscy pragną unarodowić „krymczaków“, tworzą dla nich towarzystwa oświatowe, organizacje pomocy wzajemnej i t. d.; traktują ich naogół, jako masę ciemną, nieświadomą, zacofaną. „Krymczaki“, którzy bynajmniej nie są nieświadomymi, jeno mają świadomość historycznie odrębną, są usposobieni nieufnie i niechętnie, a poniekąd nawet wrogo, do akcji swych spółwyznawców z Rosji. Są oni oporni względem idei narodowej.

Tatarzy, karaimi i żydzi, — to ludność tubylcza, ludność starej formacji Krymu. W następnym liście uwydatnię elementy nowej formacji ludnościowej w tym kraju.

T. Nowik.

◁○○○○○○○○○▷

Żywy ruch.

Szkoły gospodarcze dla młodzieży ludowej.

Żywszy samodzielny ruch umysłowy, kulturalny i ekonomiczny datuje się na wsi polskiej od czasu, gdy wieś ta zaczęła wydawać nowy typ inteligencji, która na tę wieś wracała, aby w następstwie środowisko to podnosić na wyższy poziom.

Taką, czysto wiejską inteligencją zaczęły wydawać dopiero szkoły gospodarcze dla młodzieży włościańskiej płci obojga przeznaczone.

Zakładano je na wzór duńskich szkół ludowych Grundtwiga pod jego hasłem: „Szkoła ma służyć życiu“, ale umiejętnie przystosowano te uczelnie do potrzeb i warunków polskiego życia wiejskiego.

Najpierw powstała szkoła taka dla synów włościan pod Warszawą w Pszczelinie, potem Kruszynek dla dziewcząt w ziemi kujawskiej, Nałę-

czów dla chłopców, Mierosławice w okolicach Kutna dla dziewcząt, Gołotczyzna pod Ciechanowem dla dziewcząt, Sokołówek pod Ciechanowem dla chłopców, Mieczysławów pod Kutnem dla chłopców, Krasienin pod Lublinem dla dziewcząt, Bratne pod Ciechanowem dla chłopców, Krzyżów pod Łomżą dla chłopców.

Krasienin, Bratne, Krzyżów, są szkołami najmłodszymi chronologicznie, bo zostały otwarte dopiero w r. 1913. Szkoły te, dzielą się co do długości kursu na roczne i zimowe.

Z wymienionych powyżej: Kursy rolnicze w Nałęczowie (p. Nałęczów gub. lubelska) i Kursy rolnicze w Sokołówku (poczta Ciechanów gub. plocka), są zimowe, zaczynają się 1-go listopada a kończą 1-go kwietnia, inne tak dla dziewcząt jak dla chłopców z wymienionych powyżej są roczne, zaczynają się w styczniu, kończą w grudniu przed Bożem Narodzeniem, tylko jeden Kruszynek dotąd o rocznym kursie, w tym roku rozszerzył kurs do półtora roku. Wszystkie te szkoły gospodarcze, jeśli chodzi o starsze, zależą od Muzeum rolnictwa i handlu w Warszawie, jeśli o nowsze zależne są, od Ministerjum rolnictwa w Petersburgu. Zakres nauk w nich wykładanych obejmuje: gleboznawstwo, rolnictwo, hodowlę, warzywnictwo, sadownictwo, weterynarję, mleczarstwo, pszczelnictwo, wykłady z prawa gminnego, wiadomości elementarne z dziedziny kooperacji handlu, urzędzeń społecznych i politycznych.

Wiadomości z zakresu społeczno-prawnego i społeczno-politycznego nie wchodzi w zakres systematycznych wykładów; zdobywane są przez uczniów w drodze systematycznego czytelnictwa, objaśnianego przez fachowców.

Skończenie takiej szkoły daje uczniowi pewien zaokrąglony światopogląd na jego stanowisko w przyrodzie i obowiązki jednostki wobec ogółu, oraz ogółu wobec jednostki.

Strona duchowa uczniów, jest rozbudzana i rozwijana przez odpowiednio dobrane: deklamacje, śpiewy chóralne, przedstawienia teatralne, gry towarzyskie, czytanie głośne z komentarzami arcydzieł naszej literatury pięknej.

W tym roku nap. w czasie wycieczki po kraju Kruszyńnianki grały fragmenty z Balladyny, a na pokazie swoim odegrały Halkę Moniuszki, uczniowie zaś z Sokołówka grali tej zimy fragmenty z Sułkowskiego.

Mickiewicz, Słowacki, Wyspiański i Konopnicka a z ludowych poetów Sawczuk, oto twórcy, których poezje młodzież tych szkół deklamuje z dużą dozą uczucia i przejęciem głębokim.

Strona moralna urabia się przez braterskie życie koleżeńskie i stosunek serdeczny, w wielu szkołach bardzo bliski z personelem nauczycielskim; wśród młodych wpływ mają idee odrodzenia etycznego, a więc nakazy: „nie pić, nie palić, nie grać w karty, nie kłamać, żyć czysto do małżeństwa“—znane są i praktykowane przez najlepsze zespoły tych szkół. Krajoznawcze wycieczki trwające po parę tygodni, które większość tych szkół urządza, są szkołą publicznego życia, poznawania zasobów, bogactw, potrzeb i bolączek kraju; są one, można powiedzieć, wolnym uniwersytetem pod sklepieniem niebios.

A że młodzież w tych szkołach, to młódz żądna wiedzy, pijana żądzą zdobycia jej jak najwięcej, więc ten króciutki kurs daje tym, co do tych szkół przychodzi nieprawdopodobnie dużo.

To też, po rocznym, lub półrocznym nawet pobycie, wracają na wieś jednostki ożywione szla-

chetnem dążeniem odrodzenia swego otoczenia, i dźwignania go na wyższy poziom uspołecznienia i kultury.

Stąd zdarza się, że wsie, na których starszym gospodarzom idzie trudno robota społeczna, za składkowe pieniądze wysyłają chłopca lub dziewczynkę do szkoły, licząc na to, że dopiero ci młodzi po powrocie, zrobią w ich środowisku ruch i życie nowe pełniejsze i piękniejsze krzesać poczyna.

Że te nadzieje nie zawodzą, wiedzą o tem świadomi rzeczy działacze, których dzielnymi współpracownikami są ci, co szkoły gospodarcze pokonczyli. Prądy przebiegające nasze społeczeństwo, odbiły się i na formacji tych szkół ludowych.

Są między nimi takie, które reprezentują kierunek zachowawczy i zdecydowanie postępowe, oraz takie, które stoją na stanowisku pośrednim.

Zdecydowanie postępowe stanowisko zajmują: Kruszynek (pocz. Włocławek), Sokołówek (p. Ciechanów), Gołotczyzna (p. Ciechanów) Bratne (p. Ciechanów), Krasienin (p. Lublin). Do pośrednich pod względem przekonań, należy najstarsza szkoła dla chłopców w Pszczelinie (p. Brwinów).

Reszta z wyżej wymienionych stara się krzewić przekonania konserwatywne; udaje jej się to z każdym rokiem trudniej, bo co rok do wszystkich tych szkół przybywa materiał bardziej uświadomiony.

Wszystkie te szkoły, przez cały rok przyjmują zapisy kandydatów i kandydatek, wszystkie mają 5 rublową opłatę miesięczną za utrzymanie, a naukę dają bezpłatnie, we wszystkich tych szkołach na żądanie wysyłane są programy.

Chcąc poznać życie takiej szkoły, dobrze jest wybrać się na „pokaz“, urządzany przez nie na jesień przy końcu kursu.

Wtedy można sobie zdać sprawę z tego, czem taka szkoła gospodarcza jest i wtedy zrozumieć można, że urządzona ona jest tak, aby nie wykolejała ludzi ze wsi, lecz budziła w nich świadome umiłowanie warsztatu pracy, jakim jest rola i wracała wsi jednostkę, umiejącą nie tylko samodzielnie myśleć, twórczo pragnąć, ale i lepiej, intensywniej pracować na zaniedbanym od wieków ludowym łanie.

St. Poraj.

▷○○○○○○○○◁

We mgle wspomnień.

Wacław Sieroszewski: „ZACISZE“. Powieść. Spółka nakładowa „Książka“ w Krakowie.— 1913 r. Str. 300 w 16-ce.

Wacław Sieroszewski jest niewątpliwie najmniej skomplikowany ze współczesnych naszych powieściopisarzy. Gdy się obejmie wzrokiem żywot tego człowieka, te burzliwe czasy więzień a potem kilkanaście lat, spędzonych w najokropniejszych warunkach wśród jakutów, wierzyć się nie chce, że ciężkie doświadczenia, tortury tęsknot, gorycze walk, tysiączne troski, przygody i zawody nie zmały ani odrobinę spokojnej jak jezioro toni jego duszy. Gorący zapał, odwaga, wiara w potrzebę walki i w przyszłość człowieka, z jakimi stawał wobec życia, jako osiemnastoletni młodzieniec—pozostały w nim bez żadnej, zda się, zmia-

ny. Kto go widział w r. 1905 w Warszawie, mógł się przekonać, że nie osłabła ani jego gotowość do stawiania swego życia na kartę — dla ideału, ani jego bezbrzeżny optymizm.

Losy zapędziły go do Paryża, to jest do środowiska biegunowo przeciwnego tej atmosferze zgoła dzikiego egzotyizmu, w której Sieroszewski spędzać musiał najlepsze lata swej młodości. Trudno sobie wyobrazić, aby to środowisko wywrzeć mogło jaki zdecydowany wpływ na jego twórczość. Przybył do stolicy Francji w tym wieku, gdy już dusza twórcy nie podlega zmianom ani przekształceniom. Przyniósł zresztą w sobie tę prostotę serca, która w wyrafinowanej kulturze uczuć może tylko bolesny przymus. Tymczasem, jako realista *par excellence*, Sieroszewski musi widzieć własnymi oczyma rzeczy opisywane. Jakaż więc drogą pójdzie jego twórczość literacka? Mamy już częściową odpowiedź: z jednej strony opowieść historyczna („Beniowski“), z drugiej—wspomnienia, wypromienione przez nostalgię.

Napisał Sieroszewski powieść o wsi polskiej, tej z przed trzydziestu lat, która mu pozostała we wspomnieniach młodości. W Zaciszu płynie życie sielankowe, niemal roślinne. Przyjechali oto chłopcy z gimnazjum na wakacje; są wśród nich i goście, są i dzieci pani Ramockiej, właścicielki majątku. Dorastający uczniowie, studenci z Rygi, dorosłe panienki, Atmosfera przedziwnej pogody i słodyczy. Pani domu—uosobienie tkliwości i dobroci—ma i dla swych dzieci i dla gości ogromną pobłażliwość. Młodzież więc bawi się, czyni niebezpieczne doświadczenia z procbem i fajerwerkami, jeździ konno, przyjmuje i oddaje wizyty, łowi ryby, poluje na wilki (a jakże!), urządza teatr amatorski, walczy o panny aż do zabawnych pojedynków.

Drobiutki wydarzenia dnia owiał Sieroszewski atmosferą miłą, pełną uśmiechów, pogody, czarów natury, wdzięku młodości. W przerwach pomiędzy zabawą toczą się dyskusje: pan Rwecki opowiada młodzieży, „strasznie lubiącej przygody“, krwawe historie powstaniowe, studenci wiodą dyskusje o chłopach, Panu Bogu, społeczeństwie. Jeden z gości, konkurent panny Zosi pracujący na Wschodzie, mocno sobie zachwala tę pracę wśród dzikich ludzi. Padają słowa, jakby odslaniające psychologię niektórych polaków, zmuszonych szukać chleba tak daleko od kraju: „Dzięki tej właśnie młodości życia, dziewiczości przyrody, ogromowi nietkniętych bogactw przyrodzonych, wszystko, co się tam dzieje nabiera dziwnego połotu i rozmachu. Stepy bezbrzeżne, puszcze bezludne, rzeki, jak morza ogromne, i ludzie sami wielcy, ciężcy, a naiwni, jak dzieci.—Ma się wrażenie jakiegoś praświata, prabudownictwa, zakładania jakichś potężnych podwalin przyszłości przez lud młody, świeży, potężny... Czas upływa w ciągłej walce, ale walce z przyrodą. Gdzieś na samem dnie schorzałego jestestwa budzą się wielkie instynkty zaborcze i twórcze. I nie wrogię ludziom, lecz przyjazne. Historia idzie gdzieś w ką, zapomina się mimowoli o urazach i porachunkach wobec wspólnych niebezpieczeństw, wysiłków i zwycięstw. Takie przeżycia miała inteligencja nasza zapewne niegdyś na Dzikich polach, na kresach Ukrainy, i to pewnie tak nas mocno spoili z losami tej Ukrainy, że nas wreszcie zgubiło... Nerwy hartują się, myśl wypoczywa. Zatargi z ludźmi są proste i jakieś zoologiczne, nie potracają naszej istoty, nie wlewają gryzącego żalu i rozpacz. Zresztą, co nas w gruncie rzeczy na dal-

szy dystans obchodzą ci ludzie?... Nie więcej, niż wszystko, co cierpi. Są częścią przyrody. Tutaj w ojczyźnie wszystko boli inaczej. Tak boli... Wie pani, że ja tam wcale nie czuję niewoli, zapominam o naszym położeniu...“

Rozkoszną atmosferę tych wczasów wakacyjnych i nieszkodliwych dysput zakłócają okoliczności życiowe: p. Ramocka, otrzymała po mężu, co zginął w powstaniu, majątek mocno obciążony długami. Dla ratowania sytuacji trzeba wyciąć starodrzew w lesie. Zaczyna się dramat serwitutowy. Znamy go już z „Chłopów“ Reymonta, gdzie odmalowany został w barwach, pełnych grozy.

Sieroszewski patrzy na niego z tą samą pogodą, która go zawsze cechuje. Chłopi nie mają żadnej u niego racji, prócz tej, że „las siał wiatr i—Bóg“, więc las ten nie powinien należeć do dworu. Ale Sieroszewski bardzo dyskretnie a plastycznie maluje ciemnotę chłopów, jako istotną przyczynę ich niedoli i zawziętości. Oto np. wyborna mowa o powstaniu, jaką wypowiedział przedstawiciel gromady chłopskiej do komisarza, który przyjechał na zbadanie i roztrzygnięcie zatargu: „Ciasno się zrobiło wsi, tchnąć było trudno. Dopiero przed samą tą wojną coś nie coś zelżało. Zwolywał nas coraz to, gadał, że dobrowolny wykup przeprowadzi, ziemię na wieczne czasy nam odda. Ale my nie wierzyli. Słychana rzecz, żeby kto komu ziemię za darmo oddał?! Nie dali my zgody. Dopiero on wtedy nam papiery czytać, postanowienia, rozkazy; nawet w kościele z ambyony kazał zapowiadać, że jak to do tej wojny przystanie, to mu wszystek grunt za darmo pójdzie... Tak nam to już przypoehlebnie obiecował, że my zaraz zmiarkowali, co musi być jakiś fałsz! A tu przyszedł nieprzymierzając „Rząd“. Zaczął się i we wsi rozruch. Jedni powiadają: i tych i tamtych zbić, wygnąć, ziemię precz zabrać dla siebie; drudzy, co starsi, radzą czekać: jak się oba wygubią i bez tego więcej staniesz! A kto wtedy tę ziemię weźmie? kto ją niebogę uprawi? kto jej wygodzi, obsieje, zaorze, jak nie chłop? Trafi ona, sierota, sama do jego ręki, przygaranie się jak nikogo nie stanie, jak panowie się na wojnie wytracą. I nie poszli my za nimi. I bez to panowie tę wojnę przegrali. Niech więc wielmożny komisarz te serwityuty nam teraz przysądzi, bo jakby my poszli, to jeszcze niewiadomo, coby było. A i słusznie się one nam należą, bo my tych tabelów nie pisali, a pisali ich panowie. Las zaś był nasz od wieków“.

Oczywiście, takie argumenty prowadzą do dramatu. Chłopi postanawiają najpierw niszczyć drzewa przeznaczone, do wycięcia, a gdy w nocy czatuje w lesie na szkodników bratanek pani Ramockiej, Józef—pada od skrytobójczej siekiery.

Dramat i dalszy jego przebieg śledzy maluje Sieroszewski prosto, wyraziście, komplikując go przygodą miłosną pana Rwęckiego, który kocha młodszą Zosię. Komplikacja — nie wyjaśniona wcale, bo autor „Na kresach lasów“ w psychologię dusz ludzkich nie zagłębia się nigdy mocniej. Wakacje w Zaciszu nie wyjawiają żadnych tajemnic serca; ukazują różnorodne sylwetki, kreślone z nadzwyczajną swobodą, wyraziście, barwą ciepłą, miłą dla oka. „Epilog“, dotyczący losów młodzieńczego gimnazysty, którego wydalili ze szkoły za to, że nie chciał mówić do sędziego po rosyjsku, jest już zbędnym zaokrągleniem opowieści. Istotę gawędy stanowią tu nie tyle losy tej lub owej jednostki, co atmosfera wsi, malowanej przez mgłą rozświetlonych wspomnień. Jest to sielanka,

pełna powietrza, barwy, melancholji niedawnych wypadków powstaniowych, czystych dusz i czystych serc. Taki obraz wsi polskiej jest dla człowieka, mieszkającego ra broku paryskim, zupełnym egzotyzmem. Sieroszewski więc i tu nie przestał być egzotycznym.

Jan Lorentowicz.

▷○○○○○○○○◁

TEATR ZIMOWY.

(„Djabł i karczmarza“.—Benefis p. Czechowskiej.—
Bilans zamkniętego sezonu).

Ostatnia premjera teatralna, zaś wieczór teatralny przedostatni przyniosły nam „Djabła i karczmarza“ — najnowszą sztukę Krzywoszewskiego, przyjętą w Warszawie i za kordonem naogół bardzo przychylnie.

Utwór utalentowanego autora „nie wyszedł“ u nas dobrze: tak, jak „nie wychodzi“ klisza fotograficzna, traktowana za pomocą niewłaściwych reaktywów. Odpowiednimi czynnikami byłyby tu — jak sądzę — umiejętne skonstrastowanie pierwiastku realistycznego i fantastycznego, staranne wydobycie ornamentu stylowego, który stanowi nie tylko o wartości literackiej fantastycznej komedji Krzywoszewskiego, lecz uzasadnia i sceniczny jej sukces.

„Djabł i karczmarza“, aczkolwiek reżyserowany inteligentnie, był *niedoreżyserowanym*: brakło stylu, który posiada tu urok niezaprzeczonego, brakło właściwego ornamentu zewnętrznego; kostjomy (zwłaszcza kobiece) pozostawiały wiele do życzenia, a całość nie miała w interpretacji naszych artystów złotych połysków humoru, zaprawionego dobrą kulturą, nie miała staroświeckiej myszki, która winna była unosić się nad utworem, nacechowanym wdziękiem peruki i szpady, karabeli i węgrzyna, lotnej miłości i kwileń rozbrojonego djabłoty... .

„Djabł i karczmarza“ nie jest zgoła utworem scenicznym; niemniej jest to rzecz wartościowa.

— To jest przecież jedno wielkie nic — sły-
szalem wśród publiczności.

Słusznie.

Ale nie ma chyba scena za zadanie rozwijania jedynie królewskich purpur i złotolitych brokatów: dobrze zrobi nieraz i skrawek lekkiej, a stylowej materji, rysowanej w wytworny rzucik polskiego baroku. Tylko, że tę materję trzeba umiejętnie pokazać...

A pokazano nam ją właśnie niedość umiejętnie.

Nacechowana lekką, a zjadliwą ironją historia serca pięknej karczmarzki, którą gładki Roźnik już był zabarwiał łuną misternej sedukcji; pełna do-
wcipnego wdzięku anegdota, grająca się wśród zawieszistej poezji staroświeckiej karczmy, fraków saskich, domniemanie poszóstnych karoc podróżnych, wiozących rozfiglowane szatańskie towarzystwo—wszystko to chybiło efektu.

Niemasz w tym jednak winy autora.

Rzecz przygotowana na benefis p. Czechowskiej, która wybrała sobie rolę tytułową—pięknej karczmarzki.

I uczyniła źle.

P. Czechowska, posiadająca na scenie cenne zalety temperamentu i życia nie obliczyła się nać z warunkami, sięgając po rolę popisową, efektowną, ale całkiem nie leżącą w zakresie jej atutów.

Karczmarę grała w Warszawie p. Lubicz-Sarnowska: czarowała w tej roli leniwym wdziękiem i figlarną przewrotnością tryumfującej kobiecości;—p. Czechowska poskramiła swój temperament żywy jak iskra — i wydawała się mdłą; usiłowała stworzyć postać stylową — i popełniała rażące błędy: to wpadała w czysty liryzm, to znów afektowała sprycik zadzierzysty, z którym byłoby znacznie bardziej do twarzy djabliczkom...

Zas djabliczki—Pamfila i Koziczka (p.p. Bilińska i Mostowska) były znów skomponowane w całym innym stylu—zgoła odmiennym od intencji Krzywoszewskiego.

P. Bilińska zagrała wprawdzie grande coquette—ale z spóczesnej komedji, czy farsy: kostjum jej—zapelnie nieodpowiedni w 2-m akcie — znacznie potęgował dysonans.

P. Mostowska nie powinna była wogóle podjąć się swojej roli, gdyż nie miała potemu najmniejszych danych.

Tak zawiodły nas kobiety w nowej komedji Krzywoszewskiego.

Co do artystów—wymienię z wstrzemięźliwą pochwałą p. Knake-Zawadzkiego: był dobrym, ale z przepysznym w rysunku postaci djabła kuternogi mógł być uczynić znacznie więcej; wymienię dalej p. Sarnowskiego—zupełnie dobrego w roli Wojciecha — pijaka; wymienię jeszcze wyborowego w masce p. Strycharskiego, p.p. Szarkowskiego, Bielicza.

Gorąca pochwała należy się p. Węgierce: trudną rolę Roźnika zagrał stylowo i inteligentnie, trafnie podkreślając tragikomiczne metamorfozy, jakim ulega Roźnikowi serce; ostatnie sceny i skończenie gimnastyczny skok za okno wykonał — z całkowitą gracją...

Ta ostatnia rola p. Węgierki w tym sezonie raz jeszcze przekonała nas o zdolnościach i niebywalej rutynie, jaką młody artysta nabył w stosunkowo nader krótkim czasie.

Benefis p. Czechowskiej pozostawił uczucie lekkiego żdziwienia.

Nie kwestjonujemy bynajmniej prawa młodej i naogół lubianej artystki do urządzania sobie benefisu; natomiast z naciskiem konstatujemy, że publiczność wileńska do ostatniej chwili czekała innego benefisu—benefisu bohaterki tego sezonu, która niosąc brzemień ogromnej i odpowiedzialnej pracy zaskarbiła sobie popularność w najszerszych kołach naszego miasta—p. Arkawin.

O benefisie p. Arkawin słyszeliśmy niejednokrotnie; że się nie odbył—żałujemy szczerze; dla czego się nie odbył — ? Zapytanie to kreślimy z obowiązku lojalności, choć odpowiedzi nie spodziewamy się wcale: sezon się skończył, a błędy jego i defekty w organizacji należą do przeszłości.

W związku z tą przeszłością kreślimy kilka słów jeszcze w trosce o sezon przyszły, kiedy teatr wileński stanie się instytucją stałą, a gmach nowy na stokach Pohulanki da mu ramy bardziej godne polskiej sztuki i polskiego społeczeństwa.

Nie posiadamy, niestety, dokładnych danych co do bilansów zamkniętego sezonu.

Tyle jednak da się powiedzieć, że publiczność

wileńska sprawiła się naogół dzielnie, gdyż frekwencja roku bieżącego przerosła znacznie frekwencję lat ubiegłych.

Dwadzieścia pięć przedstawień „Warszawianki“, trzydzieście przedstawień „Orlecia“ — świadczą wymownie o fakcie, że szersze warstwy wileńskie, które dotychczas słabo przyczyniały do powodzenia teatralnego polskiej sztuki—coraz szerzej i głębiej odczuwają swój związek z rzeczoną sztuką.

Jeszcze znakomicie przeważa na widowni inteligencja miejska, jeszcze spotyka się jedne i te same osoby, popierające kasę teatralną działówki; aliści liczny, coraz bardziej chętny i świadomy zastęp widzów zajmuje amfiteatr i galerję.

Za stałe przyciąganie tych właśnie osób należy się przy zamknięciu sezonu słowo podziękji p.p. Pawłowskiemu i Strycharskiemu.

Liczne i częste zawody, na jakie w sezonie obecnym narażeni byli nasi artyści — zawody całkowicie uzasadnione w niedość ściślejszej i konsekwentnej organizacji dochodów i budżetu spisujemy na debet tych sfer miejskich, które w przyszłym sezonie stworzą czynnik kontrolujący prawidłowe funkcjonowanie skomplikowanego mechanizmu teatralnego.

Niechże sezon przyszły skorzysta z owoców i zdobyczy tegorocznego i niech mu doda nowej siły i wartości.

Na tym oto apelu do ludzi dobrej woli zamykamy nasze recenzje z tegorocznego sezonu.

Zdzisław Kleszczyński.

◁○○○○○○○○○▷

PRASA POLSKA.

— „Kurjer Krajowy“ krytykując zamierzone wystąpienie naszej reprezentacji urzędowej z zapewnieniami swych uczuć lojalnych, upatruje w tem objaw politykomanji, grę w wielką politykę. Najniesłuszniej. Przeciwnie byłby to czyn wyraźnie apolityczny, świadczący o rezygnacji ze wszelkich aspiracji politycznych na szerszą skalę.

„Gramy w „politykę“. A tymczasem pole twórczej pracy społecznej leży odłogiem, a chwasty na niem porastają i wiążą nogi, gdy stąpić naprzód pragniemy. Tak i samo pragnienie życia nowego obumiera. Kręcimy się w kółko o nader ważkim obwodzie i.. gramy w „politykę“.

Dziwnie brzmi ten zarzut w ustach demokracji polskiego. Nikt chyba nie jest większym przeciwnikiem budzenia w społeczeństwie intencji politycznych, jak właśnie żywiły zachowawcze, które pragnęły by pracą „realną“ zastąpić wszelkie dążenia idejowe. Bardzo ważna i potrzebna jest praca u podstaw, ale nie można uważać jej za jedyny środek podźwignięcia społeczeństwa. Musi ono posiadać wyraźną orjentację polityczną. „Kurjer Krajowy“ zdaje się zapoznawać ten pierwszorzędnej wagi czynnik.

„Winniśmy odnaleźć zgubioną drogę. Winniśmy nie trwonić sił na politykowanie i paktowanie, lecz pracą kulturalną nlezniszczalne podstawy bytu naszego budować. Przyszłość nasza od siły kultury naszej zależy. Gdy takową zdobędziemy, gdy do ogólnego postępu kraju i ludów bratnich, z którymi tutaj żyć nam sądzono, rękę swoją przyłożymy, gdy kraj cały, jako siła świadoma, głos zabracz będzie w stanie — wówczas o faktach może być mowa, wówczas drogę należytą odnajdziemy“.

Niewątpliwie przyszłość nasza od siły kultu-

ry naszej zależy. Przyzna jednak chyba „Kurjer Krajowy“, że praca kulturalna w obecnych warunkach politycznych ogromnie jest utrudniona, a nieraz nawet wprost uniemożliwiona. Pozostaje więc tylko pole pracy ekonomicznej, na którym istotnie wiele można zdziałać, ale czyż dobrobyt materialny jest głównym ideałem, który mamy mieć przed oczami? Do tego nakłaniać nasze „sfery miarodajne“ jest co najmniej zbytecznym...

— „Kurjer Lubelski“ z zadowoleniem stwierdza, że Koło Polskie w Dumie wkraczać się zdaje na drogę, wskazywaną przez opozycję.

„Kilka słów prawdy, jakie usłyszało Koło polskie podczas ostatnich wyborów, nie minęły bez wrażenia. Już dzisiaj, po paru miesiącach istnienia IV Dumy, możemy skonstatować, że taktyka Koła uległa zmianie; nie przesadzamy czy równoległe przeszło ono pewną ewolucję ideową, czy wyrzekło się swych upodobań panslawistycznych i ogólnopolskich ambicji, czy stanęło na gruncie wyłączności i samodzielności polskiej polityki narodowej, ale już sama zmiana taktyki parlamentarnej zasługuje na podkreślenie.

Choć oficjalnie kierownictwo naczelne Koła i partji, której ono jest ekspozyturą, nie potępiło jeszcze niedawno wygłaszanych hasel traktowania Dumy, jako terenu spekulacyjno-handlowego, choć nie wyrzekło się głośno i otwarcie roli „chodatajów po dielam“, jednak widać wyraźnie, że po eichutku zaczyna się wycofywanie z tej polityki i wkraczanie na teren szerszy, wskazywany przez opozycję podczas ostatnich wyborów.

Dowodzą tego trzy interpelacje, wniesione przez Koło polskie, z których dwie dotyczą nadużyć administracyjnych, trzecia — prywatnego szkolnictwa polskiego.

Oczywiście, że nadużycia administracyjne na ziemiach polskich nie są zjawiskiem nowym, trzeba jednak było czekać aż IV Dumy, by je z trybuny parlamentarnej poruszyć.

Ważniejszą jeszcze rzeczą jest sprawa szkół polskich, która od kilku lat domaga się załatwienia, ale chęć „nienarażania się“ sferom decydującym, czy może pałdżiernikowcom, czy nacjonalistom rosyjskim (kto tam wie na kogo Koło polskie liczyło?) odwlekła ją aż do roku 1913.

„Lepiej późno, niż nigdy“—mówi przysłowie, i my tylko cieszyć się możemy, że nareszcie Koło porzuciło dawne upodobanie do odrabiania „kawałków dumskich“ i zapragnęło prowadzić szerszą politykę, odpowiadającą godności i interesom narodu polskiego.

Mówią nawet, że wniesiona będzie przez konserwatywne Koło interpelacja o postępową „Kulturę Polską“, gdy zamknięcie daleko bliższej Kołu „Macierzy“ przeszło dla niego bez wrażenia.

Wszystko to świadczy o dużych zmianach, jakie zaszły w poglądach panów postów“...

Czy nie zawiele optymizmu? Gazety rosyjskie ostatnio wszakże donoszą, że Koło Polskie jest mocno zmartwione z powodu, iż minister Sazonow nie zaprosił jego przedstawiciela do siebie na herbatkę polityczną...

◁○○○○○○○○○▷

Głosy rosyjskie.

Przeciw Austrii.

Wobec szybkich zmian, zachodzących na widowni wojny na Bałkanach, sytuacja polityczna w Europie staje się coraz bardziej naprężona. Dają temu wyraz dzienniki rosyjskie w licznych artykułach, podkreślających zwłaszcza zaostrenie stosunków między Austrią a Rosją w związku z ostatnimi wystąpieniami Austrii w Czarnogórze. „Nowoje Wremia“ dowodzi zatem, że Austrii nie chodzi tyle o Skutari, ile o upokorzenie Rosji:

„Na co potrzebne jest Austrii Skutari? Dla czego wytargowawszy się do ostateczności, ustępuje wreszcie Djakowę, lecz co do Skutari idzie

naprzód przebojem? Nie chodzi tutaj bynajmniej o małą fortecę, ale o niezwykle zwycięstwo moralne, niweczące odwieczny autorytet rosyjski. Mieć prawo powiedzieć, że Rosja nie miała siły i męstwa, aby się ująć za Czarnogórzem, gdy chodziło o najistotniejsze interesy narodu czarnogórskiego i o honor dynastji czarnogórskiej, to znaczy obniżyć całą powagę Rosji w chwili tryumfu słowiańszczyzny.“

Liberalna „Russkaja Mołwa“ również z dużym rozgoryczeniem pisze o ostatnim ustępstwie Rosji wobec dyplomacji austriackiej:

„Czarnogórze wyraziło gotowość zaprzestania chwilowo bombardowania Skutari, aby umożliwić wyjazd ze Skutari spokojnej ludności „wobec jednogłośnie wyrażonego życzenia mocarstw“, a więc i Rosji. W takich warunkach Czarnogórze musiało ustąpić bez wszelkich nawet „zastraszań“ ze strony Austrii.

Ale wówczas nasuwa się pytanie: jaki cel miało takie odosobnione demonstrowanie siły wojennej z jej strony?

Odpowiedzi na to pytanie należy szukać oczywiście nietylko w neurastenji politycznej, cechującej, jak wiadomo, wiele wystąpień Austrii na Bałkanach.

Ważne jest dla niej zaznaczenie swego zainteresowania we wszystkim, co dotyczy przyszłej Albanji, przygotowanie sobie zarazem odpowiedniego stanowiska w projektowanej przez państwa kontroli międzynarodowej nad Albanją. Oto gdzie się ukrywa najbliższe niebezpieczeństwo nowych komplikacji. Niechaj dzisiejsze ustępstwo będzie ostatnim naszym ustępstwem, a znajdziemy dosyć męstwa i wytrwałości przynajmniej na to, aby projektowany ustroj Albanji nie zamienił się we wspólną kontrolę, ograniczoną... austriackimi demonstracjami morskimi“.

Ten sam organ w innym artykule stawia nawet kwestję na ostrzu noża:

„Rozumiemy czem wojna grozi Rosji, lecz jest ona groźna dla wszystkich, a dla Europy nawet bardziej, niż dla nas. Jeśli z jednej strony i rząd i społeczeństwo będą tylko krzyczeli na wyścigi o niebezpieczeństwie, a przeciwna strona, której niemniej ono zagraża, będzie miała dość śmiałości do eksploatawania tego strachu i odważy się na ryzyko „zastraszania“, to wytworzy się tego rodzaju idjotyczna sytuacja, że ludzie usuwają sobie sami grunt z pod nóg, oddając przeciwnikowi to, do czego nie ma on najmniejszego prawa rościć sobie pretensji i robią wobec całego świata wrażenie słabości, które będzie wzięte w rachubę i odbije się przy rozstrzygnięciu naszych własnych spraw i nietylko dyplomaci będą wówczas temu winni. Bezpodstawne i bezsensowne rozszczenie Austrii w stosunku do serbów i czarnogórców mogą być potem skierowane i do nas“.

Zbliżony do kół pałdżiernikowców „Głos Moskwy“ ubolewa nad optymizmem dyplomacji rosyjskiej i twierdzi, że postępowanie Austrii jest dowodem, iż nie liczy się ona zbyt z Rosją:

„Nie trzeba szczególnej przenikliwości—pisze ów organ — żeby zrozumieć cel istotny zakusów austriackich; jeśli można się czemu dziwić, to tylko temu, że dyplomacja austriacka nie starała się nigdy ich nawet dobrze zamaskować. Uważa ona widocznie, że z nami nie należy się zbyt krępować. W r. 1908 ambasador austro-węgierski oświadczył publicznie i urzędownie, iż rząd jego nie żywi żadnych zaborczych zamysłów w stosunku do Bośni i Hercegowiny. Słowa jego jednak

nie przebrzmiały jeszcze, gdy w Wiedniu ogłoszono aneksję. Niezadługo po mobilizacji baron Walsassin z taką szczerą i ucziwą miną oświadczał w Peterburgu, że Austrija nie żywi wrogich uczuć względem słowian (co dało powód do dodania sławetnego dodatku do rosyjskiego tekstu o demobilizacji) i bezzwłocznie po tych słowach armia austriacka na granicach serbskiej i czarnogórskiej zaczęła się przygotowywać do wojny".

▷○○○○○○○○◁

Ziemstwa zachodnie.

II Sesja mińskiego zebrania gubernjalnego.

Mińsk, d. 20 marca.

Ziemstwa, wprowadzone tak raptownie przez Stołypina na Litwie i Rusi mają jakby dla ironji nazwę „zachodnich“ mimo, że z Zachodem nie mają nic wspólnego.

Powoli rozpoczyna się już wyjaśniać droga, którą kroczyć będą te instytucje samorządne.

Druga sesja gubernjalnego zebrania odbyła się w Mińsku w pierwszych dniach lutego.

Na zebranie przedstawiono 15 tomów zawierających 244 sprawy, obejmujących około 2000 str. druku in folio.

Kolosalny ten materiał obejmował:

1. Sprawozdanie za rok 1911.
 2. Projekt budżetu na 1913 (984,000 rb.).
 3. Projekt budżetu wydziału rolniczego na 1913 r. (235,000 rb.).
 4. Sprawozdanie komisji rewizyjnej.
 5. Sprawozdanie oddziału lekarskiego z 1911 r.
 6. Sprawozdanie o zarządzeniach przeciwpożarowych i budynkach ogniotrwałych.
 7. Projekt zmiany taryfy premji asekuracyjnej.
 8. Statystyka ziemskich ubezpieczeń i pożarów za 1911 r.
 9. Sprawozdanie wydziału dróg i budynków publicznych.
 10. Różne sprawy (4 tomy).
 11. Sprawozdanie z wydz. dobroczynności publicznej.
 12. Sprawozdanie z wydz. lekarskiego.
 13. " " weterynaryjnego.
 14. Protokoły i Sprawozdania „Stacji Błotnej“.
- Ogólny budżet przewidywał 984,000 rb. rozchodów i tyleż dochodów rozumie się.
- Podatek ziemski wynosi 721,000 rb. z całej gubernji mińskiej z miastem, przyczem tak się segreguje:
- M. Mińsk płaci 52.000 rb.
 - Miasteczka i miasta (prócz Mińska) płacą 22.500 rb.
 - Z lasów i ziem rządowych (wartość 21.640,000 r.) 109,000 rb.
 - Z lasów i ziem prywatnych (wart. nie wykaz.) 498,000 rb.
 - Z fabryk i zakładów przemysłowych (wart. 11.983,000 rb.) 39,000 rb.
- Widzimy więc, że lwia część podatków płacą lasy i ziemie, przemysł b. ubogi, miasta mało przemysłowe.
- Oczywiście, podatki powyższe idą na rzecz gubernjalnych spraw ziemskich, każdy zaś z powiatów ma swój budżet, swoje podatki, z których właśnie część płaci do gub. zarządu ziemskiego.
- Opodatkowanie więc wzrosło znakomicie.

A ogólny stan gospodarki krajowej?

Prawie wcale.

Ważne przesiewzjęcia poczyniono w sprawie podniesienia kultury rolnej i „ogólnego dobrobytu“ szerokich mas włościańskich, powołując specjalistów agronomów oraz innych (kultura traw, instruktorzy hodowlani) i przeznaczając w roku bież. 235,000 rb. na ten cel.

Organizacja pomocy lekarskiej ziemskiej kosztuje 258,000 rb.

Powinność drogowa 216,000 rb., a drogi są w takim stanie, że trudno gorszych sobie wyobrazić, jest to stała bolączka gospodarki ziemskiej.

Oświata ludowa — tylko 22.000 rb. pochłania, w tym względzie trzymają się oszczędności. Utrzymanie zaś Zarządu ziemskiego 38.000 rb.

Tak w głównych zarysach przedstawia się strona cyfrowa gospodarki guber. ziemstwa mińskiego. Na ogół sprawozdania są nacechowane biurokratyczną pedanterją, która pochłania moc pracy, rozprasza uwagę radnych na niezliczony szereg drobiazgów i utrudnia objęcie całości. Na tem wszystkim znać piętno „uprzedniornago“ ziemstwa.

Z ciekawych zapoczątkowań w dziedzinie kulturalnej wymienić należy zorganizowanie t. zw. „Stacji Błotnej“ dla badania błot torfowych i zamiany takowych na żyzne łąki lub pola. „Stację Błotną“ otwarto w 1911 roku. Połowę wydatków na utrzymanie ponosi rząd. Stacja uniezależniła się od ziemstwa i stanowi „dzielnicową stację błotną“, kierownikiem której jest uczony Fłorow. Stacja rozwija się b. dobrze i będzie miała przed sobą wielkie zadania. Oczywiście subsydują stacje ziemstwa, a w pierwszym szeregu mińskie. Wobec wielkiej ilości nieużytków błotnych w Mińszczyźnie, wobec całego Polesia — prace podjęte w tym kierunku przynieść mogą istotne korzyści i rozwinąć bogactwa kraju.

* * *

W sali zebrań zwraca na się uwagę skromny stolik, na którym rozłożono broszury, fotografie, tablice, schematy.

To działalność gubernjalnego personelu agronomicznego. Wysuwają się tu na pierwszy plan prace p. Ed. Bakuna (obecnego sekretarza Miń. T-wa Rolniczego) nad badaniami miejscowego bydła białoruskiego, prace sumienne i ze znajomością rzeczy przeprowadzone i ułożone. Są tu sprawozdania ciekawe z działalności „pomocy agronomicznej“ p. Weljaminowa-Ziernowa, agronoma gubernjalnego, wiele tablic, fotografii kolonji wzorowych. Wszystko to ma b. duże znaczenie, gdyż ilustruje prace podejmowane w tym kierunku i zapoznaje z wynikami.

* * *

Zebrania naogół były liczne, aczkolwiek główne prace odbywały się w komisjach. W całości daje się zauważyć małe wyrobienie ogółu radnych, że tak powiem, parlamentarne. Szczególnie włościanie milczą jak zakłeci, mówią rzadko i tylko o sprawach dotyczących ich powiatu lub okolicy. Na czoło wysunęły się już jednostki pracowite i te prowadzą debaty, stawiają wnioski — tworzą życie.

Charakterystyką ogólną jest decentralizacja. Główne sprawy przenoszone są do powiatów; gospodarka powiatowa stanowi samorządną jednost-

kę, której bronią nawet przed najbliższym sąsiadem-powiatem przedstawiciele danego powiatu.

Dominuje zasada—każdy dla siebie.

To wywołuje specjalny „patryjotyzm powiatowy“ w sprawach ogólnego znaczenia, jak szpitalnictwo, oświata i t. p.

Najbardziej charakterystyczną jest walka stawa między miastem Mińskiem i powiatami. Wszystkie wnioski przedstawiciele Mińska zwykle zostają przegłosowane na niekorzyść miasta.

W trakcie obrad dało się zauważyć kilka momentów bardziej ożywionych. Do takich między innymi należała uchwała powołania 4-go członka Zarządu. Mimo debaty i logiczne dowody przy balotowaniu powołano takowego.

Polacy są bodaj najlepszymi wyrobieni a już bezsprzecznie posiadają najlepszych mówców (p. Jastrzębski, Ambrożkiewicz, Chrzastowski, Woyńłowicz, Lubański, Skirmuntt) i pracują z wielkim pożytkiem.

Zdaniem mojem, bronią oni jednak zbyt słabo spraw dotyczących stanowiska naszego, niedostatecznie uwytatniają niesprawiedliwą względem polaków ordynację kurjalną wyborczą. Przy takim uchwalaniu asygnowań na pomnik Stołypina, twórcy ziemstw zachodnich, możnaby to zaznaczyć i podkreślić. Przecież sprawa ta tyle wywołała hałasu w swoim czasie...

Naogół w drugiej Sesji nie dało się zauważyć tendencji ciasno-nacjonalistycznych.

Wybitną była oszczędność na sprawy oświatowe, prawie wszystkie objęte budżetem asygnowania — odrzucono.

Józef Moczulski.

Wszystkich przyjaciół naszego pisma prosimy o jego rozpowszechnianie.

KRONIKA.

— Z żałobnej karty.

D 21 b. m. zmarł w wieku lat 60 Mieczysław Ostachiewicz, zasłużony na polu pracy społecznej w Wilnie. Wszelkie zapoczątkowania o charakterze demokratycznym miały w nim gerliwego zwolennika. Gdy „Gazeta Wileńska“ upadła po paromiesięcznym istnieniu, zmarły przyłożył dużo starań w celu jej wskrzeszenia i nie szczędził zabiegów nad jej utrzymaniem i rozwojem. Był też szczerym przyjacielem naszego pisma.

Cześć Jego pamięci!

— Demonstracja słowiańska.

W niedzielę d. 17 b. m. około g. 4 pp. po nabożeństwie uroczystem z okazji zdobycia Adrijanopola, w Petersburgu, część publiczności urządziła owację na cześć generała Dmitrjewa, którego na rękach odniesiono do powozu.

Następnie część tłumu przeważnie młodzież śpiewając hymn narodowy, ruszyła w kierunku prosp. Newskiego. Około gmachu rady miejskiej konna policja rozpedziła demonstrantów... nahajkami. Parę osób poturbowano. Demonstranci, gdy policja wzywała ich do rozejścia się, zwracali jej uwagę, iż śpiewają — hymn. Nie to jednak nie pomogło: nahajki były w robocie.

Część demonstrantów skierowała się z pod rady miejskiej na ul. Symeonowską przed gmach ambasady bułgarskiej. Tam odśpiewano „Szumi Marica“, a poseł bułgarski, Bobczew z balkonu wygłosił taką mowę:

„Panowie, widzę na waszych licach wyraz radości całego narodu rosyjskiego. To nie tylko nasze zwycięstwo, to zwycięstwo Rosji, której wojska jeszcze w 1829 r. zajęły to miasto. To zwycięstwo słowiańszczyzny. Niechaj żyje wielka Rosja!“

Po odśpiewaniu ponownie hymnu demonstranci ruszyli do ambasady serbskiej na Litejny pr. W oknie ambasady ukazał się poseł Popowicz, lecz zanim zdążył powiedzieć parę słów—tłum rozpedzono nahajkami.

We środę wniesiono z tego powodu nagłą interpelację w Dumie.

— Konkurs litewski.

„Viltis“ ogłosił rozstrzygnięcie konkursu na sztukę sceniczną, ogłoszoną przez kowieńskie litewskie Tow. trzeźwości „Blaiwybe“. Sędziami byli: rektor seminarjum katolickiego w Kownie ks. prałat Maculewicz, ks. J. Tumas, Ignacy Szlapelis, L. Gira i prezes „Blaiwybe“ ks. Marmo.

Ogółem nadesłano 14 sztuk. Z tego 4 oryginalne i 10 przerobionych z języków obcych. Nagrody pierwszej (100 rb.) nie przyznano nikomu i podzielono ją między autorów dwóch sztuk 3-aktowych: „Sugriautas gyvenimas“ (Rozbite życie) i „Jonukas isgelbejo“ (Janek uratował), których autorami są: pierwszej—Pijus Mieczulis i drugiej—K. Olita, obydwaj z Wilna. Nagrodę drugą (50 rubli) otrzymała Helena Rucewiczowa z Wilna za dramat p. t. „Smukle“ (Karczma), napisany według Zenona Parwiego.

— Polacy w Inflantach.

Mitawski korespondent „Dziennika Petersburskiego“ oblicza, że polska ludność m. Rygi sięga 10 tysięcy głów; po niej idzie Lipawa z 4—6 tysiącami polaków, dalej Mitawa (około tysiąca), Windawa, Dorpat, Rewel i kilka miast pomniejszych. Wogóle polacy zamieszkują tam przeważnie miasta i nieznaćny tylko odsetek osiadł na roli.

— Reforma Akademii wojskowo-lekarskiej.

Na skutek ogłoszenia, że studenci po zreformowaniu Akademii wojskowo-lekarskiej mogą składać prośby o powrotne ich przyjęcie do Akademii, odbył się więc, na którym postanowiono nie wnosić podań o przyjęcie z powrotem. Uchwała ta ściągnęła do Akademii mnóstwo studentów, którzy oblegali kancelarię, żądając wydania dokumentów. Dotychczas wycofało swe świadectwa przeszło 400 studentów, a próśb złożono ogółem dwadzieścia

— Kongres wychowania fizycznego.

W Paryżu odbył się w bieżącym miesiącu międzynarodowy kongres wychowania fizycznego młodzieży, który pod znakiem fakultetu lekarskiego zgromadził półtrzecia tysiąca osób, a w tem blisko połowę z zagranicy. Otwarcie kongresu odbyło się uroczystie w wielkim amfiteatrze Sorbony wobec prezydenta Rzeczypospolitej. Oprócz referatów naukowych, których tematy były przedmiotem ożywionej, niekiedy namiętej dyskusji, odrębny dział kongresu stanowiły popisy gimnastyczne i sportowe, dające możność okazania wartości rozmaitych systemów i metod kultury fizycznej. Polacy nie uczestniczyli w popisach. W dziale referatów prócz referatu d-ra Piaseckiego, do apelu pod tym względem stanęli jedynie dr. Wyrzykowski ze Lwowa i H. Kuczalska z Warszawy. Referaty rzeczono, ilustrowane przezroczami, wywoływały żywe zainteresowanie uczestników kongresu. Na kongres przybyło zresztą sporo polaków.

Treść numeru.

Jedność narodowa. — J. Sorokowicz.

Uгода polsko-rusińska. — Bezstronny.

Kwestja żydowska w Królestwie. — Wi—ski.

Listy ze Wschodu. — T. Nowik.

Żywotny ruch. — St. Poraj.

We mgle wspomnień. — J. Lorentowicz.

Teatr zimowy. — Z. Kleszczyński.

Prasa polska.

Ziemstwa zachodnie. — J. Moczulski.

Głosy rosyjskie.

Kronika.

Odcinek: „Romans Wacława Błockiego“. — M. Pawlikowski.

Warszawskie Towarzystwo Ubezpieczeń

OD OGNIĄ

Założone w roku 1870.

Kapitał zakładowy	2,000,000 Rb.
Kapitały gwarancyjne	4,000,000 Rb.
Roczny zbiór premji przeszło	9,000,000 Rb.

W ciągu lat 41 istnienia Instytucji wydano ubezpieczonym 1,850,000 polis, wypłacono odszkodowań 95,000,000 rubli, przy ogólnej liczbie 51,000 pożarów.

Ogólna liczba współpracowników łącznie z agentami wynosi przeszło 1000 osób.

**Zarząd Okręgu mieści się w domu własnym Towarzystwa
w Wilnie, Prospekt Ś-to Jerski № 17.**

Dyrekcja Towarzystwa w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście № 7.

Reprezentacje i Agentury Towarzystwa znajdują się we wszystkich ważniejszych miejscowościach Królestwa Polskiego, Litwy i Rusi.